Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

NR 34 (1185) ROK XXIII 24 SIERPNIA 1980 R. CENA 3 ZŁ

W NUMERZE: Literatura rumuńska ■ Do Pragi z pustą walizką ■ Teatro Museo Dali ■ Z zimną krwią ■ Sprawa godna zastanowienia ■ „Historii filmu" ciąg dalszy ■ Felietony ■ Recenzje.

REPORTAŻE:

GDZIEŚ TAM ZA STACJĄ BABY

Jerzy Kisson-Jaszczyński

Uczestniczył w spotkaniu, którego długo nie zapomni. W Przytocznej w województwie gorzowskim w ramach III Ogólnopolskiego Przeglądu Dorobku Kulturalnego Wsi zorganizowano imprezę literacką pod hasłem „Wieś w literaturze". Kogo tam nie było! Tadeusz Nowak, Jan Maria Gisges, Henryk Worcell, Janusz Koniusz...

Oglądam wydany na tę okazję folder-informator. Program imprezy, notki biograficzne jej uczestników: Henryk Bereza, Melania Burzyńska, Stefan Cebulski, Stanisław Derendarz...

Że poeta i gawędziarz, zdjęcie z podkręconym wąsem i tekst:

„Ur. w 1928 r. we wsi Baby k/Piotrkowa Tryb. Mieszka w Raciborowicach, gdzie prowadzi gospodarstwo rolne. Jest członkiem Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Jego twórczość literacka obejmuje wiersze, opowiadania i gawędy publikowane od 1965 r. w kilku czasopismach.

Prawda. Zwłaszcza ostatnio najczęściej drukuje Stanisława Derendarza „Tygodnik Piotrkowski". Prawidłowo.

1.

W sekretariacie KG partii w Moszczenicy, już u wyjścia, bo sekretarza nie zastałem, dostrzegam leżącą na fotelu torbę, a na niej popielatą czapkę. Poznałem tę czapkę! To czapka Stanisława Derendarza.

Siedział przy telefonie w głębi pokoju. A ja wybierałem się już szukać jego Raciborowic po rozstajnych drogach, gdzieś tam za stację PKP Baby..

— *Koń mi pada* — powiada na powitanie, jakby tłumaczył swoją tu obecność. — *Szukam instytucji, która by kupiła jeszcze żywego, ażebym nie za wiele musiał dokładać do nowego. Na traktor dopiero czekam. Jeszcze dwa, trzy lata. A tu żniwa opóźnione, a ja bez transportu.*

„Drogą przez mękę", wiodącą przez klin gminy Czarnocin, docieramy do Raciborowic. Jest to najbardziej na północny wschód wysunięta część gminy Moszczenica.

— *Do wykończenia obory potrzeba mi z górą dwu ton cementu i trochę żwiru* — prezentuje swoje gospodarstwo. — *Obora kosztowała już 320 tysięcy złotych. Żałuję, że w ubiegłym roku, jak mogłem kupić, nie zabawiłem się w chomika. Nie byłoby teraz czekania.*

Zgromadził Stanisław Derendarz dostateczny zapas zboża, karmę dla inwentarza. Zagospodarował cielęt-

Dalszy ciąg na str. 4

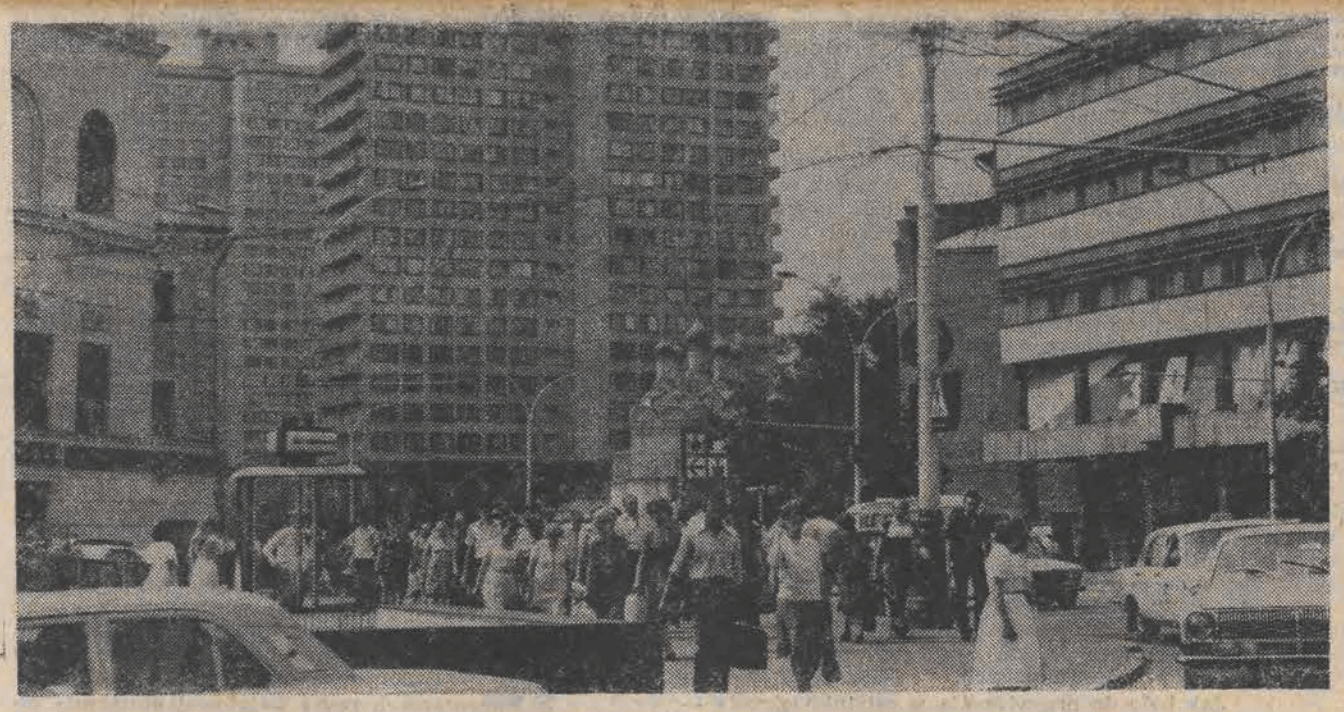

Foto: Zbigniew W. Nowak

Foto: Czesław Abratkiewicz

JACEK INDELAK

MOSKIEWSKIE SPOTKANIA

— Czy lubisz cza-czę? — pyta Michaił Priesman, zbliżając się do imponującej meblościanki: głęboki mahoń, wysoki połysk. Nie, nie jest to zaproszenie do tańca. Gospodarz wyciąga z przepastnego barku pękatą butelkę, napełnioną krystalicznie przezroczystą, zielonkawą cieczą. **— Gruziński bimber z winogron, prawie siedemdziesiąt procent** — rekomenduje z satysfakcją. **— Pij, Jacek, za nasze spotkanie** — namawia. Sam jednak odstawia, wyjaśniając pospiesznie: **— Ja nie mogę, mam nocny dyżur. Olimpijski!**

Dalszy ciąg na str. 6 i 7

ZMARTWIENIA KSIĘCIA FILIPA

Małgorzata Golicka

Melonik, ciemny garnitur, parasol, teczka. Tak przyodziany latem tego roku młody człowiek nie występuje w filmie, tylko godnie kroczy po pracy. Nie wierzysz? Przejdź się rano lub późnym popołudniem londyńskim City. Ubrani w garnitury panowie siedzą za kierownicą samochodów, zapełniają metro, czasami wracają spacerkiem przez park do domu. W garniturze i w krawacie pracuje nauczyciel, urzędnik, ekspedient i kasjer w eleganckim magazynie. W garnitury przebierali się synowie Albionu do obiadu w byłych koloniach brytyjskich, nawet, jeśli jadali samotnie, a wokół toczyły się wojny. Tak było od lat i nikt nie miał wątpliwości, co i kiedy należy czynić.

„Przed stu laty każdy wiedział, co ma robić — powiedział książę Filip w wywiadzie udzielonym „Saturday Review". **— Dzisiaj wywróciliśmy wszystko do góry nogami. Mówią o nas: „ci biedni, starzy Brytyjczycy". Co jest jeszcze gorsze, to świadomość, że ludzie nam współczują. W każdym razie rzeczywiście opuściliśmy ligę wielkich mocarstw".**

Nie tylko królewski małżonek ubolewa, iż zachwiał się w posadach tradycyjny porządek, na którym opierało się Imperium.

„Gdzie się to wszystko załamało?" — pytają przedstawiciele klas średnich, dziennikarze i politycy. Nie sądź jednak, naiwny cudzoziemcze, że Tobie właśnie uda się odkryć przyczyny społecznego kryzysu i naszkicować portret współczesnego Anglika.

„Wszelkie uogólnienia na temat Brytyjczyków należy na wstępie uznać za ryzykowne, albowiem w charakterze Brytyjczyków zawiera się wiele sprzeczności" — ostrzega Henneth Harris, zajmujący się brytyjską obyczajowością.

Mieszkańcy Wyspy mają, jego zdaniem, niesłychanie wyczulone pojęcie tego, jak się należy zachować. Są konwencjonalni i uważający.

Dalszy ciąg na str. 6

Foto: Archiwum

Kronika Kulturalna

BARDZO UDANĄ IMPREZĘ w minionym niedzielę przygotowali dla łodzian pod patronatem „Expressu Ilustrowanego" Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz Wydział Kultury i Oświaty Urzędu Dzielnicowego Widzew.

Na festynie każdy w zależności od wieku i zainteresowań mógł znaleźć coś dla siebie. Dzieci i młodzież oraz rodzice oblegali stoiska z artykułami niezbędnymi dla ucznia, a także giełdę podręczników. Panie z ciekawością przyglądały się pokazowi mody. Miłośnicy literatury mieli do dyspozycji stoisko „Domu Książki". Były także występy warszawskiej grupy „TRAGAP" oraz Jerzego Krzemińskiego, i duży program estradowy wyreżyserowany i prowadzony przez łódzkiego aktora Jana Pawła Kruka, a w którym mogliśmy obejrzeć występy czechosłowackiego duetu lalkarzy „Duo Elmiro", zespołu „Euterpe" i artystów z Bułgarii i Grecji.

Najbardziej jednak interesujące i różnorodne były imprezy dla najmłodszych: atrakcyjne konkursy, nauka piosenki o pszczółce Mai i obecność zwierząt z łódzkiego ZOO.

MIŁO nam donieść, że wśród nagrodzonych na XI Międzynarodowym Konkursie Fotografii Artystycznej „Venus — 80" w Krakowie znalazł się także łodzianin — **Marek Wojciechowski,** który otrzymał srebrny medal Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego za cykl 3 fotogramów czarnobiałych zatytułowanych „Rzeźba"

WE WRZEŚNIU podobnie jak w latach poprzednich odbywać się będzie wielka impreza prezentująca dorobek kulturalny największej z łódzkich dzielnic — **„Dni Bałut".** Program „Dni" zapowiada się imponująco. Organizowane one będą z udziałem zakładów pracy, placówek upowszechniania kultury, rad osiedlowych i środowisk twórczych. Wśród wielu oferowanych imprez interesująco zapowiada się „Giełda czterech muz" zlokalizowana na Starym Rynku. W Galerii Bałuckiej będzie można obejrzeć prace znanego łódzkiego plastyka **Wacława Kondka.** W Dzielnicowym Domu Kultury trwać będą **IV Amatorskie Konfrontacje Teatralne.** Natomiast w Archiwum m. Łodzi przygotowuje się sesję popularnonaukową nt. przeszłości i dnia dzisiejszego Bałut, której towarzyszyć będzie wystawa dokumentująca dzieje tej dzielnicy.

NOWĄ ATRAKCYJNĄ FORMĘ prezentacji wprowadzają już od stycznia łódzkie muzea. Otóż otwarte zostaną przy tych placówkach sale kinowe dostępne szerokiej publiczności w których pokazywane będą filmy krótkometrażowe, tematycznie związane z określoną przez poszczególne muzea specjalizacją. Kina te czynne będą w określonych na stałe dniach tygodnia i godzinach.

KOLEKCJĘ zbiorów **Radosława Sobiana** pt. „W kręgu konstruktywizmu" przygotowała Desa w „Galerii Sztuki Współczesnej".

Część przedstawionych prac stanowią różne warianty cyklu „Reliefy" **Henryka Stażewskiego.** Inny cykl, „Interwencje", jest prezentacją twórczości **Edwarda Krasińskiego.** Obok tych cykli znalazły się również: tempery **Stefana Wegnera i Lecha Kunki** oraz oleje **Stefana Krygiera i Jana Pamuły,** a także „Lekcja anatomii" **Stanisława Fijałkowskiego.**

W KLUBIE Międzynarodowej Książki i Prasy można obejrzeć interesującą wystawę pasteli łódzkiej plastyczki **Marty Rak-Podgórskiej.**

TYLKO do 23 sierpnia czynna będzie w Centralnym Muzeum Włókiennictwa wystawa kompozycji tkackich **Urszuli Plewki-Schmidt** pt. „Podróż do źródeł czasu", po tym bowiem terminie wystawa przeniesiona zostaje do Paryża.

W SALONIE Sztuki czynna jest wystawa olei i gwaszy młodego plastyka warszawskiego **Jacka Bukowskiego.**

W SIEDZIBIE Pen-Clubu w Warszawie 14 bm. odbyła się miła uroczystość. Wręczono doroczne nagrody tego stowarzyszenia za wybitne osiągnięcia w dziedzinie twórczości edytorskiej. Nagrody za 1980 r. otrzymali prof. **Konrad Górski** i prof. **Karol Estreicher** za całokształt ich osiągnięć w tej dziedzinie.

DUŻY SUKCES odniosła nasza kinematografia na zakończonym niedawno XXXIII Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Locarno, zdobywając kilka wyróżnień, wśród nich honorowe wyróżnienie jury dla całego zestawu naszych filmów, pokazanych w konkursie i w sekcjach poza konkursowych.

Nagrodę za zestaw przedstawionych w Locarno filmów przyznało też naszej kinematografii jury międzynarodowej federacji kin studyjnych, rekomendując polskie filmy dwóm tysiącom kin zrzeszonych w federacji.

Jury międzynarodowej krytyki filmowej przyznało swą nagrodę filmowi **„Kung-Fu" Janusza Kijowskiego.**

Jury nagrody ekumenicznej wyróżniło **„Szansę" Feliksa Falka.**

50 ZAGRANICZNYCH FILMÓW LEONA NIEMCZYKA

Pamiętamy go z wielu filmów, jak „Odwiedziny Prezydenta", „Baza ludzi umarłych", „Pociąg", „Nóż w wodzie". Od kilku lat znany aktor **Leon Niemczyk** jest rzadkim gościem w kraju, bowiem uczestniczy w realizacji licznych filmów za granicą.

— W ilu zagranicznych filmach pan występował?

— W ponad pięćdziesięciu. Były to filmy produkcji NRD radzieckiej, bułgarskiej, czechosłowackiej, francuskiej i RFN.

— Którego z reżyserów i partnerów — aktorów wspomina pan najmilej?

— Największym sentymentem darzę reżysera z NRD Horsta Seemanna, z którym stale współpracuję. Występowałem m.in. w zrealizowanym przez niego filmie „Czas życia" w roli niemieckiego antyfaszysty. Za film ten obaj otrzymaliśmy w 1969 r. nagrody państwowe NRD: on za reżyserię, ja za główną rolę.

Mile też wspominam drugiego reżysera z NRD, Rudiego Kurtza. Niedawno telewizja NRD emitowała 12 odcinkowy serial pt. „Archiwum śmierci" w jego reżyserii. Jest to historia grupy spadochroniarzy: Polaka, Rosjanina i trzech Niemców. Ja odtwarzam rolę polskiego antyfaszysty. W filmie tym występuje również Barbara Brylska. Po przejściu przeszkolenia w ZSRR grupa zostaje przerzucona przez linię frontu, aby wykraść tajne archiwum chronione przez SS. Serial ten, nakręcany ponad rok, m.in. w Krakowie i Wieliczce, zawiera wiele scen ukazujących martyrologię narodu polskiego w okresie okupacji. Mam nadzieję, że będzie pokazany również w naszym kraju.

Dużą sympatią darzę bułgarskiego reżysera Todora Stojanowa. Współpracowałem z nim w serialu telewizyjnym o tematyce sensacyjnej „Zmarły powraca", składającym się z 12 pełnometrażowych odcinków. Brałem udział w zdjęciach nakręcanych m.in we Włoszech, Austrii, Syrii, Libanie, Bułgarii i Turcji. Występowałem również w reżyserowanym przez Stojanowa filmie „Dziwny pojedynek", osnutym na tle przygód oficera kontrwywiadu. Łącznie pracowaliśmy razem blisko cztery lata.

Z partnerów — aktorów najsympatyczniej wspominam Jugosłowianina Gojko Mitlicia, z którym występowałem w wielu filmach. To mój stary, wypróbowany przyjaciel, niezwykle koleżeński, towarzyski, imponujący pracowitością, odwagą i zdyscyplinowaniem, uniemożliwiała mi występowanie w filmach, co jest moją życiową pasją. Jednak kariera aktora filmowego to rzecz krucha i zawodna i nie zapewnia ciągłości pracy. Nie zastrzegam się, że nigdy nie powrócę na scenę. Na razie jednak mam tyle pracy w filmie, że nie myślę o tym powrocie.

— Nad czym pan obecnie pracuje?

— Występuję w realizowanych przez DEFE filmach: „Bohemia" reż. Horsta Seemanna i „Kolonia" reż. Horsta Brandta. Uczestniczę także w filmie koprodukcji radziecko-niemieckiej „Die Zeilen" reż. Wasilija Mielnikowa oraz w polskim pt. „Krab i Joanna" reż. Zbigniewa Kuźmińskiego. W Teatrze Sensacji TvP przystąpię wkrótce do prób w sztuce włoskiego autora Leonarda Sciasci „Każdemu co się mu należy od mafii".

— A co z urlopem?

— Niedawno pracowałem i odpoczywałem na przemian, kiedy nakręcaliśmy film „Krab i Joanna". Przez kilka tygodni przebywaliśmy na statku najpierw na Wyspach Kanaryjskich, a potem za Kołem Polarnym. To mi wystarczy.

Rozmawiała:
JANINA KAPUŚCIŃSKA

11 sierpnia 1980 r. minęła 35 rocznica śmierci jednego z najwybitniejszych aktorów scen polskich, człowieka bez reszty oddanego teatrowi, otoczonego już za życia legendą, entuzjasty i nieugiętego obrońcy postępowego teatru artystycznego — Stefana Jaracza.

STEFAN JARACZ

Urodził się w 1883 r. w Żukowicach Starych, w pow. tarnowskim, jako syn nauczyciela. Już w gimnazjum zdradzał zainteresowania teatralne. Po maturze studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale po roku porzucił studia, angażując się do teatru Towarzystwa Oświaty Ludowej w Krakowie. Kolejne etapy kariery Jaracza przed pierwszą wojną światową, to występy na scenach w Poznaniu, Łodzi (za dyrekcji Aleksandra Zelwerowicza), Warszawie (Teatr Mały i Polski). W czasie pierwszej wojny światowej grał w polskich teatrach w Moskwie i Kijowie. W pierwszym dziesięcioleciu okresu międzywojennego występował w czołowych teatrach warszawskich, m.in. w Polskim, Reducie i Narodowym.

Pełnia artystycznej działalności Jaracza przypada na lata 1930—1939, kiedy to z dwuletnią przerwą kierował warszawskim Teatrem Ateneum. Na tej scenie starał się realizować swe marzenia o teatrze postępowym, reprezentującym wysoki poziom artystyczny, a jednocześnie dostępnym dla szerokiego kręgu widzów. Inscenizował sztuki o zdecydowanie postępowej wymowie społecznej i politycznej. W okresie dyrekcji Jaracza Ateneum zyskało rangę ambitnej, czołowej sceny stolicy.

Pamiętne jego kreacje to Czepiec w „Weselu", Szela w „Turoniu", Judasz w sztuce Tetmajera, Kaliban w „Burzy", Franio w „Szczęściu Frania", Smugoń w „Przepióreczce", Szwejk w schillerowskiej inscenizacji powieści Haszka, Voigt w „Kapitanie z Koepenick" i in. Ci, którzy znali Jaracza, wspominają go nie tylko jako wybitnego artystę, ale i jako wielką indywidualność, nasycającą każdą kreację swą osobowością. Milionom widzów znany był z ról filmowych.

W okresie okupacji był więźniem w hitlerowskim obozie zagłady w Oświęcimiu. Po wyzwoleniu nie dane mu już było powrócić na scenę. We wrześniu 1944 r., trawiony gruźlicą, przybył do wolnego już Lublina, pragnąc wziąć udział w organizowaniu życia teatralnego w Polsce Ludowej. W Otwocku napisał obszerny list adresowany do ludzi teatru, zwany **„Testamentem Jaracza"** i odczytany na pierwszym zjeździe ZASP.

26 sierpnia 1880 r. mija 100 rocznica urodzin jednego z najwybitniejszych, najbardziej nowatorskich twórców XX stulecia Guillaume'a Apollinaire'a, francuskiego poety, polskiego pochodzenia.

GUILLAUME APOLLINAIRE

Urodzony w Rzymie, do ksiąg ludności wpisany zostaje jako **Wilhelm Albert Włodzimierz Aleksander Apolinary Kostrowicki.** Jest to nazwisko jego matki. Angelika Kostrowicka pochodziła z polskiej rodziny, której rodowe dobra pod Nowogródkiem zostały skonfiskowane po upadku Powstania Styczniowego. Najprawdopodobniej jej ojciec, a na pewno jego stryjowie brali udział w powstaniu. Zostali później wywiezieni na Syberię, a ojciec Michał Apolinary wraz z żoną Włoszką — Julią Floriani dostał się do Włoch, gdzie został wysokim urzędnikiem Watykanu.

Angelika Kostrowicka dość szybko i w sposób szokujący sfery arystokratyczne, w których obracali się w Rzymie jej rodzice, rozpoczęła samodzielne życie. Ze związku z potomkiem znakomitej rodziny włoskiej Francesco Flugi d'Aspermont urodził się w 1880 r. Wilhelm Apolinary, a kilka lat później jego brat Albert.

Obaj chłopcy wychowywali się w klasztornych szkołach, w Monaco, Cannes i Nicei, żyjąc w atmosferze tajemniczości i niedomówień na temat swego pochodzenia. Przez całe życie Apollinaire'a wokół tej sprawy powstawały liczne legendy, których on sam ani nigdy nie potwierdził, ani im nie zaprzeczał. Jeszcze przed kilkunastu laty Anatol Stern lansował kolejną, wręcz sensacyjną wersję o napoleońskim pochodzeniu Apollinaire'a. Jego polskiemu rodowodowi poświęcił Stern wiele esejów, które przed kilku laty ukazały się w tomie „Dom Apollinaire'a". W badaniach dotarł do różnych źródeł, niektóre z nich doprowadziły do wysnucia hipotezy, iż Guillaume Apollinaire był w prostej linii prawnukiem Napoleona, a wnukiem jego syna, księcia Reichstadtu.

Mając 19 lat, zaczął Apollinaire pracować jako nauczyciel domowy, następnie na różnych skromnych posadkach w Paryżu. Już wtedy nawiązywał kontakty z pisarzami, malarzami, m. in. z Pablem Picassem. Zaczyna też ogłaszać pierwsze liryki. Spuścizna poetycka Apollinaire'a nie jest duża. Najgłośniejsze jego utwory to zbiory poezji „Alkohole" i „Kaligramy".

Ale Apollinaire to także twórca znakomitych utworów prozą, takich jak m. in. opowiadania „Heretyk i spółka", powieść „Poeta zamordowany". Zainteresowania miał wszechstronne i dawał im wyraz w różnorodnych formach — w dziennikarstwie, eseistyce obyczajowej i artystycznej.

Apollinaire odegrał w wielu dziedzinach nowoczesnej sztuki rolę prekursora. Był jednym z inicjatorów kubizmu, wywarł wielki wpływ na twórczość Picassa i Braque'a. Był wielkim entuzjastą sztuki murzyńskiej, sztuki prymitywnej. Głosił, iż sztuka nie powinna naśladować rzeczywistości, ale odtwarzać ją, symbolizować. Wierzył głęboko w niewyczerpane możliwości ludzkiego poznania, obiecywał sobie i ludziom, że technika XX wieku przyniesie im radosną zmianę losu.

O matce mówił: **„Słowianka"**, ale o sobie napisał w liście z frontu... **„we współczesnej literaturze jest trzech Polaków, którzy nie piszą po polsku: Conrad w Anglii... Przybyszewski w Niemczech. I ja we Francji".**

TYDZIEŃ W POLITYCE

W minionym tygodniu opublikowana została **obszerna odpowiedź rządu polskiego** na skierowaną do wszystkich państw przez sekretarza generalnego ONZ notę w sprawie wprowadzenia w życie deklaracji o umocnieniu bezpieczeństwa międzynarodowego. Odpowiedź Polski jest szeroką ilustracją działalności naszego kraju na rzecz pokoju i bezpiecznej egzystencji narodów.

Deklaracja uchwalona została przed 10 laty przez Zgromadzenie Ogólne. Wytyczała kierunki pokojowego rozwoju sytuacji międzynarodowej. Spełniła ona w części swą rolę, ale **nadal zachowuje aktualność.** Jej wykonanie powinno bowiem oznaczać jednoznaczne i przez wszystkie państwa podejmowane działania na rzecz pokojowego rozwoju stosunków. Dlatego w swej odpowiedzi wymieniamy te problemy, których rozwiązanie służyłoby pokojowemu współistnieniu państw. Do nich należy przede wszystkim **zapoczątkowanie odprężenia militarnego,** co zwłaszcza obecnie — wobec znanych Czytelnikom nowych zagrożeń — jest wręcz koniecznością. W tym też kierunku zmierza polska polityka zagraniczna, dla której umocnienie bezpieczeństwa międzynarodowego było, jest i pozostanie główną linią postępowania. Udowadniamy to zresztą inicjatywami własnymi i wspieraniem zgłoszonych przez inne państwa.

A teraz raz jeszcze o sytuacji przedwyborczej w Stanach Zjednoczonych.

Jak było do przewidzenia w ostatnim okresie — **J. Carter wygrał konwencję demokratów** i z ramienia tej partii kandydować będzie na prezydenta w listopadowych wyborach. Ale demokraci wchodzą w finalną kampanię wyborczą, o czym pisaliśmy przed tygodniem, osłabieni wewnętrznymi rozdarciami i niezgodnościami. Świadczy o tym chociażby układ głosów na konwencji w kwestii tzw. otwartego jej charakteru: rzecznicy Kennedy'ego otrzymali 1390 głosów, Cartera — 1936. Doszło też do zasadniczej dyskusji nad programem i ostatecznie obecny prezydent musiał włączyć kilka punktów z deklaracji swego wewnętrznego konkurenta. Szeroko też uważa się, że Kennedy będzie „murowanym" kandydatem partii demokratycznej za cztery lata.

Tymczasem agencje amerykańskie zauważają, że gdyby teraz miały się odbyć wybory — **szala przechyliłaby się w stronę republikanów** — tzn. kandydującego na prezydenta Reagana z całym jego wstecznym i kontrowersyjnym programem. Do głosowania jeszcze trzy miesiące i sytuacja może ulec zmianie, chociaż działalność administracji obecnego prezydenta — zarówno wewnętrzna, jak i zagraniczna — jest dość głośno krytykowana. Sam Carter ocenił tę działalność w polityce wewnętrznej na czwórkę z plusem, a w polityce zagranicznej na czwórkę z minusem, ale stopnie wystawił sobie zawyżone. Takie jest przynajmniej odczucie Amerykanów.

I jeszcze w tej części przeglądu wydarzeń zdanie o tzw. niezależnym kandydacie na prezydenta — Andersonie. Powołał on właśnie szefa swojej kampanii wyborczej i zapowiedział, że będzie ona intensywna — Anderson odwiedzi wiele stanów i będzie występował wielokrotnie w telewizji.

W komentarzach prasy światowej utrzymuje się temat bliskowschodni, oczywiście przede wszystkim z powodu jednostronnej decyzji parlamentu izraelskiego, proklamującej całą Jerozolimę, a więc i zagarniętą część miasta, stolicą Izraela. Właśnie wtedy, kiedy zebrać się miała Rada Bezpieczeństwa, aby omówić ten samowolny krok, izraelscy komandosi **podjęli próbę desantu w Libanie.** Źródła bejruckie podały, że atak ten został udaremniony przez połączone siły Palestyńskiego Ruchu Oporu i Libańskiego Ruchu Narodowego, a premier Selim Hoss polecił stałemu przedstawicielowi Libanu w ONZ złożyć w sprawie izraelskiego ataku protest w Radzie Bezpieczeństwa.

Piszemy o tym wydarzeniu, aby wykazać Czytelnikom, że **prowokacje izraelskie nie ustają** i sytuacja na Bliskim Wschodzie wciąż ma znamiona zapalnej. Następca tronu w Arabii Saudyjskiej oświadczył właśnie, że „Arabowie nie ustaną w swych wysiłkach dopóki wszystkie okupowane ziemie arabskie nie zostaną wyzwolone". Wezwał on do świętej wojny wszystkich Arabów i muzułmanów, gdyż jedynie taka może być odpowiedź świata arabskiego „wobec nieugiętego stanowiska syjonistów". Arabowie — dodał — stoją wobec decydującego wyzwania: być albo nie być.

W. SŁAWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter) BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: ANDRZEJ BLAIER TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KĘPIŃSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

LUCJAN BOGUSZ

CZŁOWIEK, KTÓRY NIE MÓGŁ BYĆ PORTIEREM

Jest to opowieść niemal przeniesiona z kart „Procesu" Franza Kafki. Taki jest jej duch, jej atmosfera. Zacznę więc ją cytatem z „Procesu":

„... przychodzą ciężkie godziny, każdy je przeżywa, gdy się wydaje, że nic się nie osiągnęło, że tylko od początku wyznaczone do wygrania procesy kończą się dobrze, co by się i tak bez niczyjej pomocy stało, podczas gdy wszystkie inne przegrywa się mimo całego trudu, mimo wszystkich zabiegów, wszystkich drobnych pozornych sukcesów, które sprawiły taką radość. Potem wszystko już się wydaje człowiekowi niepewne, i nie miałoby się nawet odwagi zaprzeczyć gdyby ktoś zapytał, czy procesów o dobrym z natury swej przebiegu nie sprowadziło się na bezdroża właśnie przez własną pomoc".

I tak, jak u Franza Kafki nazwijmy bohatera tej opowieści Franciszkiem K., choć posiada on właściwe imię i nazwisko. Jest to jednak sprawa tak zawiła, tak skomplikowana, pełna podejrzeń, że lepiej nie ujawniać prawdziwego nazwiska i imienia bohatera. Zainteresowani i tak będą wiedzieli o kogo chodzi.

W opowieści tej, tak jak i u Franza Kafki, człowiek został postawiony w sytuacji, na którą zupełnie nie ma wpływu, a która poruszana przeróżnymi mechanizmami, obraca się przeciw niemu. Można powiedzieć, że przeciw Franciszkowi K. też toczy się proces, w którym nie ma adwokatów, sędziów przysięgłych, ławników, a w którym wszyscy są po trosze sędziami. Rozparci wygodnie w fotelach w ciszy gabinetów rozważają ten złożony przypadek, wymieniając później uwagi przez telefon z innymi zainteresowanymi. Pewnego dnia i ja znalazłem się w kręgu zainteresowanych tą sprawą.

Franciszek K. najpierw zadzwonił, a później przyszedł z prośbą o pomoc i radę. Chciał zostać portierem w „Polmozbycie", ale lekarz orzekł, że nie nadaje się do tej pracy. Franciszek K. sądzi, że opinia lekarza jest tylko wygodnym wykrętem, gdyż on już w tymże samym „Polmozbycie" starał się o pracę jako kierownik działu bhp, miał przyjść do pracy, wyznaczono datę, ale w ostatniej chwili cofnięto. Nic więc dziwnego, że nie chciano też, aby był portierem.

Franciszek K. jest rencistą. Pobiera rentę wypadkową w wysokości 2 367 zł i jak to stwierdza ZUS w Łodzi w zaświadczeniu wydanym 29 listopada w 1979 roku **„przy pobieraniu której może podjąć zatrudnienie w pełnym wymiarze godzin".** Okazuje się jednak, że łatwo to napisać, trudniej zrealizować.

— **Rozumie pan** — mówi Franciszek K. — **renty mam 2 367 złotych a na utrzymaniu żonę, dziecko i matkę. Nie jest to suma, z której mo na utrzymać rodzinę. A ostatni raz pracowałem w kwietniu tego roku i od tego czasu jakoś nie mogę znaleźć pracy. Dlaczego? Może pan mi to wytłumaczy?**

Franciszek K. w 1967 roku jechał tramwajem ulicą Juliana Tuwima. Stał na pomoście, a obok niego stały dwie kobiety. Tramwaj zbliżał się do skrzyżowania z ulicą Henryka Sienkiewicza. Motorniczy zaczął hamować. Tramwajem gwałtownie szarpnęło. Wszyscy polecieli do przodu.

— **Złapałem się poręczy metalowej i poczułem uderzenie prądu** — opowiadał później o tym Franciszek K. — **Drzwi na przednim pomoście były otwarte. Wypadłem z tramwaju i straciłem przytomność.**

Obie kobiety, które były wówczas na pomoście zeznały, że istotnie zapalił się silnik tramwajowy, rzuciło nimi i jak dym się rozwiał, na pomoście nie było już mężczyzny, który przedtem tu stał. A że obie śpieszyły się do pracy, zbytnio nie rozglądały się po ulicy.

Franciszek K. wypadł z tramwaju i uderzył się o stojący na poboczu jezdni samochód. Przybyło pogotowie. Lekarz stwierdził ranę podbródka i zabrał rannego do Szpitala im. N. Barlickiego. Lekarka badająca ranego stwierdziła uraz szczęki, ale przy stwierdzeniu **„porażenie prądem"** postawiła znak zapytania. Ten znak zapytania będzie miał później duże znaczenie w sprawie Franciszka K.

Warto wiedzieć, co Franciszek K. robił do momentu wypadku. Dziś ma już 41 lat. Pracę zawodową rozpoczął jako elektryk w Cementowni „Pokój". Miał wtedy 17 lat. Później, dokładnie w rok później, a więc w 1957 roku pracował jako elektryk w Łódzkim Przedsiębiorstwie Instalacji Sanitarnych i Elektrycznych. W dwa lata później w ZPW im. Gwardii Ludowej. Też jako elektryk. Później było wojsko, lata 1961—1962. Po powrocie z wojska został kierowcą w tej samej fabryce, z której poszedł do wojska. W tym samym jeszcze roku poszedł do pracy w milicji, gdzie pracował przez dwa lata, później w „elektryfikacji rolnictwa" był ekonomistą, energetykiem w zakładach metalowych przemysłu terenowego, mistrzem w MPK i wreszcie zastępcą kierownika w „Chemobudowie". Wtedy właśnie, w drodze do pracy zdarzył mu się ten przykry wypadek.

Jak z tego widać Franciszek K. nie odznaczał się zamiłowaniem do stałej pracy. Zmieniał ją dość często, pnąc się po szczeblach administracyjnej kariery. Wypadek zdarzył mu się, kiedy był zastępcą kierownika. Już po wypadku został kierownikiem pracowni w Branżowym Ośrodku Postępu Technicznego i Usług Metalowych Łódzkiego Związku Spółdzielczości Pracy. Ale kierownictwo tego Ośrodka, rozwiązując pracę z Franciszkiem K. orzekło, że był pracownikiem **„mało wydajnym".**

W czasie wypadku Franciszek K. studiował zaocznie na Wydziale Elektrycznym Politechniki Łódzkiej i studia te po wypadku ukończył, uzyskując tytuł inżyniera elektryka. Dyplom uzyskał 4 maja 1971 roku. A 4 czerwca 1976 roku uzyskał tytuł magistra ekonomii, kończąc studia na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego.

Każdy, kto zetknie się z tymi faktami, dowiadując się jednocześnie, że magister ekonomii, specjalista od organizacji i zarządzania, a jednocześnie elektryk inżynier, specjalista od elektrotechniki przemysłowej nie może nigdzie dostać pracy i nawet nie może zostać portierem, każdy będzie oburzony. Przecież wszyscy wokół krzyczą, że nie ma ludzi, że potrzebni są fachowcy, a tu magister inżynier nie może zostać nawet portierem.

Zajrzałem do opinii z ostatniego miejsca pracy:

„Ze względu na specyficzny charakter pracy Ośrodka i stosunkowo krótki okres w/wym. nie możemy wydać szczegółowej opinii". Franciszek K. w tym Ośrodku pracował od grudnia 1979 roku do 30 kwietnia 1980 roku. Człowiek, który podpisał tę opinię, powiedział, że Franciszek K. do pracy naukowo-koncepcyjnej się nie nadaje, że może być inżynierem wszędzie indziej. Ale jest to jego — można rzec — zdanie prywatne.

Kto tu bowiem w ogóle jest upoważniony do opiniowania, do jakiej pracy nadaje się Franciszek K., a do jakiej się nie nadaje?

Odpowiedź na to pytanie ma w tej sprawie znaczenie zasadnicze, a sądzę, że również w wielu innych.

Składa ofertę Franciszek K. „Oramowi" i dowiaduje się, że poszukują tylko inżyniera elektronika-automatyka. Składa ofertę Łódzkiemu Przedsiębiorstwu Instalacji Sanitarnych i Elektrycznych, gdzie przecież kiedyś pracował, ale jest redukcja etatów pracowników umysłowych i z oferty przedsiębiorstwo nie może skorzystać. W „Skogarze" już niemal zostaje kierownikiem zespołu magazynów, ale znów szansa pracy umyka mu. Odmawia „Bistona", odmawia „Ema-Elester". Wreszcie Wydział Zatrudnienia pismem z 6 sierpnia 1980 roku oświadcza Franciszkowi K., że **„nie zajmuje się pośrednictwem pracy osób posiadających grupę inwalidzką"** i odsyła go do Przychodni Rehabilitacji w Łodzi. Wydział Zatrudnienia próbował do tej pory kilka razy przyjść z pomocą Franciszkowi K. Teraz umywa ręce.

Poradnia Rehabilitacji Zawodowej — Wojewódzkiej Przychodni Rehabilitacyjnej oświadcza pismem z tegoż 6 sierpnia 1980 roku, że **„w chwili obecnej nie posiada zgłoszeń na stanowiska wymagające kwalifikacji mgr ekonomii, kierunek — organizacja i zarządzanie"** i że Poradnia nie jest w stanie pomóc Franciszkowi K., który **„poszukuje pracy wyłącznie w wyżej wymienionym zawodzie".**

Nie tak dawno na łamach warszawskiego tygodnika pewien również warszawski publicysta roztaczał piękne perspektywy doskonalenia się wewnętrznego ludzi, dowodząc, że uczyć się, studiować i tak dalej można li tylko dla własnej przyjemności i wewnętrznego rozwoju własnej osobowości, a przy okazji wykonywać bardzo prozaiczny zawód. I że jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Bardzo bym był ciekaw, co by ten publicysta powiedział, usłyszawszy od znajomego dyrektora, którego zapytałem, czy przyjąłby na portiera w swojej fabryce faceta, który ma dwa fakultety, i nie może znaleźć pracy w swoich zawodach. Ów dyrektor powiedzia: — **Jeszcze nie zwariowałem!** Wcale się mu nie dziwię.

Franciszek K. pod koniec 1969 roku wystąpił do ZUS z wnioskiem o orzeczenie stopnia utraty zdrowia na skutek wypadku. Miał bowiem zawroty głowy, chwile słabości, słowem kłopoty ze zdrowiem i wiązał to z wypadkiem. Komisja lekarska 22 września 1969 roku dochodzi do wniosku, że Franciszek K. ze względu na wypadek **„nie kwalifikuje się do żadnej grupy inwalidzkiej"**, ustala też fakt, że 4 maja 1965 roku został zarejestrowany w Poradni Zdrowia Psychicznego, ale nie interesuje się tym, czy w tej poradni leczył się, jak długo i dlaczego. Komisji wystarcza tylko to, że było podejrzenie schizofrenii. W związku z tym przyznaje III grupę inwalidztwa z **„ogólnego stanu zdrowia"**, a więc nie na skutek wypadku. Komisja dochodzi też do wniosku, że Franciszek K. **„może wykonywać pracę lekką w spokojnym zespole".**

Komisja jest zobowiązana do ustalenia wskazań dla inwalidy. Komisja będzie miała wielekroć okazję, do spotkania się z Franciszkiem K. dochodząc do różnych interesujących stwierdzeń. Na przykład 26 lutego 1976 roku dojdzie do wniosku, że Franciszek K. jest **„niezdolny do wykonywania zatrudnienia i do zarobkowania w normalnych warunkach"**, ale kwalifikacji jego inwalidztwa nie zmienia. W miesiąc później ktoś napisze wręcz śmieszne zalecenie: **„Praca w warunkach spokojnych, nieodpowiedzialna".** Co to znaczy?

I tu dochodzimy do pierwszego bardziej ogólnego stwierdzenia. Mam bowiem wątpliwości, czy ci wszyscy, którzy oceniają innych, decydują o ich dalszym losie, zastanawiają się, jakie konsekwencje będą miały ich decyzje? Łatwo bowiem zalecić, aby ktoś miał **„lekką i spokojną pracę"**, ale trudniej wyraźnie wskazać, jaką pracę uważa się za **„lekką i spokojną"** i gdzie ją można znaleźć. Wydaje mi się, że przy tego rodzaju orzecznictwie musi być wymagana większa precyzja, że należy unikać ogólników, które mogą jedynie szkodzić w czyimś życiu, a nigdy pomóc, którymi czasami nikt się w ogóle nie przejmuje.

Dość długo trwał spór między Franciszkiem K., a Zakładem Ubezpieczeń Społecznych. Franciszek K. bowiem domagał się uznania jego inwalidztwa spowodowanego przez wypadek, a ZUS stał na stanowisku, że Franciszek K. stracił zdrowie już wcześniej popadając w stany neurasteniczne, trzymają się kurczowo faktu, że przed wypadkiem Franciszek K. leczył się również w poradni neurologicznej.

Jeśliby nawet dojść do wniosku, że stan nerwów Franciszka K. nie był najlepszy przed wypadkiem, że musiał on raz czy dwa szukać pomocy lekarza, to czy zatem wypadek tego stanu nerwów nie pogorszył? Nikomu jakoś nie przyszło do głowy takie rozumowanie. Obawiano się raczej, że Franciszek K. postanowił nabrać ZUS, wyłudzić od państwa rentę. Tylko za jaką cenę to robił? Czy ktoś dobrowolnie pozwoli się „zrobić na wariata" tylko po to, aby otrzymywać miesięcznie niecałe 2 tysiące złotych, bo tyle na początku ZUS płacił Franciszkowi K.

Teczka akt Franciszka K. w ZUS jest gruba i dość podniszczona od ciągłego używania. Bywała wielekroć w Sądzie Okręgowym ZUS, w Trybunale ZUS, w różnych instytucjach i urzędach, w których Franciszek K. interweniował, starając się zmienić kwalifikację swojej renty. Dopiero, kiedy w czerwcu 1976 roku Łódzka Rada Związków Zawodowych postanowiła podważyć i zaskarżyć orzeczenia lekarskie, Okręgowy Sąd ZUS w Łodzi, ale dopiero w listopadzie 1977 roku, doszedł do wniosku, że istotnie stan zdrowia Franciszka K. znacznie pogorszył się po wypadku. Zmieniono więc decyzję i przyznano Franciszkowi K. prawo do renty inwalidzkiej **„według trzeciej grupy inwalidów z tytułu wypadku w zatrudnieniu".** Renta taka przysługuje mu od 1 marca 1976 roku.

W uzasadnieniu napisano, że wystąpiło **„podejrzenie procesu paranoidalnego, co mogłoby mieć wpływ na wyższą kwalifikację inwalidztwa z ogólnego stanu zdrowia, gdyby podejrzenie zostało potwierdzone".** Ale Franciszek K. nie zgodził się na badania w szpitalu. Natomiast badający go psycholog stwierdził **„obraz zespołu nerwicowego"**, ale nie był **„w stanie określić przyczyn tych objawów".**

Zespół lekarzy nie stwierdził **„objawów organicznego uszkodzenia układu nerwowego ani objawów choroby psychicznej".** Biegli doszli wszakże do wniosku, że **„objawy nerwicowe mogły ulec nasileniu w związku z wypadkiem".** Po wypadku, a także w sytuacji, jaką mu stworzył ZUS, Franciszek K. znalazł się w stanie stresu, co niekorzystnie odbiło się na jego stanie nerwów.

23 sierpnia 1979 roku Wojewódzka Komisja Lekarska do spraw Inwalidztwa i Zatrudnienia odrzuciła wniosek o nadanie Franciszkowi K. II grupy inwalidzkiej i utrzymała w mocy poprzednią kwalifikację, czyli III grupę inwalidzką. W związku z tym ZUS 14 września 1979 roku odmówił wyższych świadczeń. Koło się zamknęło, sprawa wróciła do punktu wyjścia.

Przypomnijmy cytat z „Procesu Franza Kafki:

„... przychodzą ciężkie godziny, każdy je przeżywa, gdy się wydaje, że nic się nie osiągnęło, że tylko od początku wyznaczone do wygrania procesy kończą się dobrze..."

Ale sprawę Franciszka K. trzeba wreszcie jakoś rozwiązać!

Tylko jak?

Przez otwarte okno wpadają dźwięki hejnału z Krakowa. Samo południe. Siedzimy w miękkich fotelach i rozważamy, jak wreszcie zakończyć sprawę Franciszka K.

— **Jestem przekonany** — mówi Rozmówca I — **że jest to chory człowiek.**

— Na jakiej podstawie? — pytam.

— **Był u mnie kilka razy. Na podstawie rozmów z nim.**

— A jak pan wytłumaczy, że ten chory człowiek ukończył już po wypadku dwa fakultety? — pytam Rozmówcę I.

— **Tego rodzaju ludzie mogą dojść do zadziwiających wyników w studiach i niektórych dziedzinach nauki czy sztuki** — pada odpowiedź.

— Nie mogę pojąć, że przez wiele lat, na dwóch uczelniach nikt nie doszedł do wniosku, że daje się dyplomy choremu człowiekowi?

— **To się zdarza.**

Sam znam przypadek człowieka niebywale uzdolnionego w jednej tylko dziedzinie, który wykazuje absolutny brak przystosowania we wszystkich innych. Ale nic z tego nie wynika, bo człowiek ten pracuje, a przynajmniej pracował do niedawna, kiedy utraciłem z nim łączność, znakomicie wypełniając swoje obowiązki. To się też zdarza.

— **Widzi pan** — mówi Rozmówca II — **Franciszek K. stara się o stanowiska kierownicze, a tam wymagana jest odpowiedzialność materialna. Czy można mu takie stanowiska powierzyć?**

— **On chciał być portierem, aby czekać aż zwolni się jakieś kierownicze stanowisko. Czy to normalne?** — wtrąca Rozmówca I.

Milczę. Nie wiem, co powiedzieć. Czyż czyjeś ambicje mają świadczyć przeciw niemu. Znam kilku ludzi, którzy mając wygórowane ambicje, a nie mogąc je spełnić, popadali w sytuacje głęboko stresowe. Czy mam uznać to za nienormalne? Sam mam w sprawie Franciszka K. szereg wątpliwości. I nie widzę w tym nic złego. Ale wiem, że sprawę tę trzeba wreszcie jednoznacznie rozwiązać. Nie można nadal utrzymywać stanu, w którym — ze względu na pogłębiający się stres — choroba, jeśli istnieje, będzie się pogłębiała. Co więc robić?

— **To jest bardzo trudna i skomplikowana sprawa** — powiada Rozmówca II.

To wiem. Ale inny jeszcze Rozmówca powiedział wcześniej, że Franciszek K. sam sobie winny, bo sprawia u chcących go zatrudnić niekorzystne wrażenie. Nie mam jednak pewności, czy chcący go zatrudnić nie konsultują się w poprzednim miejscu pracy i nie sugerują się zaczerpniętą stamtąd opinią. Wiem tylko, że łatwo taką opinię ukuć, która będzie później krążyła za człowiekiem, a z którą ani nie ma jak walczyć, ani nie ma jak jej sprostować. Tak bywa. Czy tak jest w tym przypadku?

— Więc co robić? — pytam.

— **Chcemy mu pomóc** — mówi Rozmówca I. — **Ale musimy precyzyjnie ustalić, do jakiej pracy Franciszek K. nadaje się, a do jakiej nie. W tym celu musi się poddać szczegółowym badaniom socjologicznym, psychiatrycznym, psychologicznym.**

— Ale on się przed tym broni.

— **Bez tego nie będziemy w stanie mu pomóc** — powiada Rozmówca I.

Jest jeszcze inne wyjście. ZUS musi zrewidować swoją opinię i swoje stanowisko. Zastosować inną kwalifikację inwalidztwa wobec Franciszka K., jeśli rzeczywiście jest chory i nie nadaje się do żadnej pracy, jeśli nikt mu tej pracy nie chce dać. Tylko ZUS, jak każda instytucja, nie lubi przyznawać się do pomyłek, nie lubi zmieniać decyzji. Być może inna kwalifikacja, wyższa renta i przyznanie prawa tylko do pracy na pół etatu radykalnie zmieniłyby sytuację psychiczną Franciszka K.

Ale ZUS tego nie zrobi. Zmiana kwalifikacji renty w listopadzie 1977 roku spowodowała, że Franciszek K. wniósł pozew do Sądu Wojewódzkiego (Wydział I Cywilny) domagając się od ZUS odszkodowania z tytułu wypadku. Proces trwa już dwa lata. Dalsze więc zmiany mogą pociągnąć za sobą kolejne roszczenia Franciszka K. W oficjalnych dokumentach ZUS biegli stwierdzili bowiem, że Franciszek K. jest pieniaczem i ma tendencje roszczeniowe.

Przypomnijmy jeszcze raz Franza Kafkę:

„Potem wszystko już się wydaje człowiekowi niepewne, i nie miałoby się nawet odwagi zaprzeczyć, gdyby ktoś zapytał czy procesów o dobrym z natury swej przebiegu nie sprowadziło się na bezdroża właśnie przez własną pomoc".

Są więc instytucje i ich racje, ich interesy. I jest człowiek, takim, jakim jest, ze swoimi wadami, zaletami, chorobami. Społeczeństwo, jako całość, odpowiada za tego człowieka. Ale to, choć pięknie brzmi, nic w gruncie rzeczy nie znaczy.

Ja się w każdym razie opowiadam za człowiekiem. Za pomocą, choć też nie wiem, jak to zrobić.

GDZIEŚ TAM ZA STACJĄ BABY

Dalszy ciąg ze str. 1

nik m. in. z dorodnymi bliźniaczkami. Krów jest dziewięć, z czego cztery dojne. Codziennie odstawia 40—50 litrów mleka.

Pole za stodołą rozległe, z oddechem, aż po horyzont. Od zachodu i wschodu odcinają je rzędy drzew. Pierwszy rząd drzew — to ojciec sadził dawno, dawno. Drugi — to starodrzew wybujały nad wąwozem, w którym od z górą 130 lat toczą się pociągi z Warszawy do Katowic, Pragi, Wiednia, Budapesztu.

— *Na tę kolej nie ma rady* — powiada Derendarz — *Tarnina już na jakieś' dwa metry wlazła w moje pole, rozsiewa chwasty.*

2.

„Beło to w puniedziołkowy późny ranek, pod kuniec sierpnia 1912 roku. Dziń pocon sie chmurny, ale łod wschodu wzieno powiwać leciutkim wietrzykiem, chmurzyska jeny sie na miejsce, a te jesce drobniały jaz przez te napęknińia przebijać sie zaceny sydełka słońcowych promysków..."

Tak się zaczyna Derendarzowy „Odyniec na weselu", czyli opowieść ojca *„całusieńka autentyczna"*.

„... Wisioł jesce cepiec mgły nad rzekom, kiedy na weselu w Drzazgowej Woli na klarnycie groł som Wąchała ze Sirosławia, co z najlepszym skrzypikim z łokolicy, młodym Zygmuntem z Kalski Woli grywoł..."

I przypominam sobie jak to w trakcie weselnych godów do wsi wtargnął siejąc postrach ogromny dzik-odyniec. Zanim dopadli go dziedzicowi ludzie, dzik porwał na swoje grzbiecisko lichego chłopinę Nitka, którego sukmana ślepia bestii przysłoniła, a który strwożony, trzymał się mocno zwierzęcej szczeciny. Krótko trwało jednak owe Nitkowe ujeżdżanie bestii. Dzik runął łbem w płocisko weselnej zagrody, wpadł na podwórze, ale już bez „jeźdźca", *„... bo go beł górny rygiel zgarnoł na zimie"*. Wtedy z widłami ruszył na dzika *„Walek Marusowego, a Józek Stypniów tak go sikirom płotnął w łeb ze upod..."*

I doszło do klasowego konfliktu. Bo nadjechał właśnie pan dziedzic oznajmiając, że to jest jego dzik. A znów chłopy zakrzyknęły, że „dzik nas!" Ten spór zakończył się jednak ugodą. Dziedzic ofiarował weselnikom dwa mniejsze, po sto dwadzieścia funtów ważące warchlaczki w zamian za dobitego przez chłopów odyńca, za zdrowie młodej pary wypił, rubla muzykantom i drugiego chłopom za załadowanie odyńca na brykę dorzucił. I weselisko zasobne w mięsiwo i gorzałkę trwało do czwartkowego zmierzchu w Drzazgowej Woli.

3.

Derendarzowe gospodarstwo, to siedem i pół hektara gruntów ornych, położonych za obejściem gospodarskim. A jest i obszerny sad po tamtej stronie drogi, i własny staw obrosły tatarakiem.

— *Były i własne ryby, ale pilnować trudno, rybaków nieproszonych za wielu* — słyszę.

Dom solidny, z ciemnej cegły, niewiele młodszy od gospodarza, a sporo starszy od jego dzieci — syna Pawła, który w tym roku ukończył Technikum Rolnicze w pobliskim Czarnocinie i od córki Anny, która także w tym roku uzyskała magisterium z chemii w Częstochowie.

Dom zbudował jeszcze ojciec Stanisława Derendarza, w trzydziestym piątym. Glinę na cegłę brano z wyrobiska, które dziś jest stawem. Dom dobrze służy, choć przydałby się nowoczesny. Ale dobry gospodarz dba najpierw o budynki inwentarskie.

W gościnnym pokoju pełno dyplomów i obrazków. To prace Stanisława Derendarza: akwarele, olej. Oto książę Bogusław Radziwiłł przed porwaniem go przez Kmicica. To mniej mi się podoba. Za to olej: „Młyn Gierut w Lubiatowie" — podoba mi się bardzo. A oto „Szkoła we wsi" rysowana kredką. Szkoła w Raciborowicach jest od dawna otynkowana. Narysował więc ją Stanisław Derendarz tuż po budowie, bo na rysunku jeszcze ceglana.

Co to za obcy mur znajduje się w jej ścianie szczytowej? A właśnie. Szkołę wzniesiono na fundamentach pałacu Zymunta Pułaskiego. Może ród spowinowacony z bohaterem konfederacji barskiej i Stanów Zjednoczonych? Stanisław Derendarz pamięta dziedzica. Dbał o włości i o dystans między dworem a wsią.

— *Te skrzypce to po ojcu. Dobre skrzypce marki „Steiner".*

I już gra poleczkę, która zwie się „Dyszle". Oto stary, także wyborny akordeon „Hohnera".

Magister Anna Derendarzówna, prosto z pola, w białej chusteczce na głowie i boso, z życzliwością częstuje herbatą i piernikami. Dziękujemy i rozmawiamy z gospodarzem o jego dniu roboczym. Kiedy pisze, maluje, czyta? W nocy. Wieczorami od czterech lat ćwiczy z zespołem pieśni i tańca ZPB w Moszczenicy. Trzy kilometry jazdy na rowerze do stacji PKP w Babach, a do następnej stacji Moszczenica pociągiem. Czasami i cały dystans na rowerze.

Biało-czarny owczarek szetlandzki na uwięzi przy budzie „dla zasady" poszczekuje, widząc obcego. Na moment wyjrzało słońce. Wokół domu klomby, po angielsku krótko przystrzyżona trawa i pyszne drzewa. Srebrny świerk, modrzewie, rzadkie dwa cisy, dorodna brzoza, bo jakże to bez polskiej brzozy, oraz pięcioletni dopiero jesion cesarski, który kiedy podrośnie, stanowić będzie zaciszną, naturalną ogrodową altankę. I jeszcze te bujne paprocie. I czerwone kwiaty.

Żałowałem, że nie zastałem pani Derendarzowej, która pojechała sprawy do miasta załatwiać. Ileż ona ma udziału zarówno w tak dostatnim utrzymaniu całego gospodarstwa, jak i w mężowskich sukcesach pozarolniczych — artystycznych, społecznych!

Stanisław Derendarz ukończył tuż po wojnie gimnazjum mechaniczne w Piotrkowie. Żona przez wiele lat pracowała w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Rolnicy z maturami. Mężowska — techniczna przydaje się w gospodarstwie jakby znalazł. Żonina (technikum rolnicze) także, bo dźwiga ciężar, kiedy mąż na kilka dni pakuje podróżną walizkę, dla przykładu, żeby Wojciecha Siemiona na festiwalu w Kazimierzu zastępować.

4.

W roku 1965 na konkursie „Głosu Robotniczego": „Moja wieś", zdobył drugą nagrodę. Od tego się zaczęło. W 1978 zdobył trzecią nagrodę, a nie było pierwszej, w III Ogólnopolskim Przeglądzie Gawędziarzy Regionalnych w Zabrzu. W 1979 roku przyznano Derendarzowi drugą nagrodę w konkursie literackim im. Pocka. Nagrodę uzyskał za opowiadanie „Bełchatowski diabeł".

— *Zadedykowałem je budowniczym Zagłębia Bełchatowskiego* — powiada pan Stanisław — *ale nie wiem, czy kulturalniacy bełchatowscy je upowszechnili.*

W tym roku Tomaszów Mazowiecki, obchodzący 150 rocznicę nadania praw miejskich, był organizatorem konkursu na wiersz lub tekst do piosenki. Mogę zdradzić po czasie tajemnicę jako jeden z jurorów: długie były targi członków sądu konkursowego zanim Derendarzowi przyznano tylko drugą nagrodę za wiersz „Moje ty miasto". Głosowano i za pierwszą. Mieczysław Michał Szargan czytał kilkakrotnie Derendarzowy tekst. Posłuchajcie! Woła!:

„Miałoś przecież swą młodość
gdy jako pacholik
już późniejszym czasem
niosłoś portki pasiaste i białą
sukmanę
przepasaną u bioder kolorowym
pasem".

Teraz, po wizycie w Raciborowicach jeszcze bardziej wyraziście przemawia tamten tekst poetycki, wyrosły jak dorodne zboże w dolinie Wolbórki, gdzie Rzeczków, Będków, Drzazgowa Wola i dalej Wolbórz, Zawada aż po miasto z niedźwiedziem w herbie:

„... niedźwiedź, co sobie spoczął
przy starej hyżej sośnie,
rzekł do swych niedźwiedziątek
— patrzcie, miasto rośnie..."

5.

Leje jak z cebra. Stanisław Derendarz przyjechał do Piotrkowa, bo jest przewodniczącym Związku Producentów Roślin Okopowych WZKR. Załatwił już co trzeba i teraz siedzimy w Klubie Prasy „U Dziennikarzy". Mówi o roli pisarza ludowego. Chodzi mu o tych, którzy specjalizują się w tematyce wiejskiej i piszą gwarą kaszubską, czy spod Myszyńca, bądź Nowego Targu. Tych drugich już coraz mniej i dobrze, że ze Stanisławem Derendarzem spod Piotrkowa, Melanią Burzyńską z Białostocczyzny, Stefanem Cebulskim z Zaborowa nad Wartą, Alfredą Magdziak spod Zamościa, czy Heleną Waligórą z Białki Tatrzańskiej spotykają się „za pan brat" tacy jak Tadeusz Nowak, Henryk Worcell, Henryk Bereza, Jan Maria Gisges.

— *Janusz Niczyporowicz w Przytocznej charakteryzował obraz wsi polskiej pokazywany w reportażu, Zygmunt Ziętek mówił wtedy o prozie nurtu chłopskiego w latach siedemdziesiątych. To zgoda. To dobrze — denerwuje się. — Ale nie znoszę, kiedy wygłasza się referaty, jak to zrobił pewien profesor na temat przemian społecznych wsi w Polsce Ludowej. Socjologizowanie z używaniem co krok słowa obcego, kiedy nie brak rdzennie polskiego, funta kłaków warte. I nie tylko ja tak to przyjmuję.*

Jaki więc jest ten pisarz ludowy w ujęciu Derendarza.

Ręka mu drży, ma skąpy zasób słów, brak mu maszyny do pisania. Brak czasu. Brak słów. Ale na podorędziu są za to rdzennie polskie, jędrne, prześne. Bo jest przede wszystkim chłopem — to przynależność społeczna. Później rolnikiem — to zawód, a jednocześnie pisarzem. A to wierność dwu pierwszym. Z tej wierności wynika zgodność wydarzeń na wsi z tym, co przyjdzie przelać na papier. Zawodowcy zbyt często, poza wybitnymi pisarzami nurtu wiejskiego, mają zapóźnioną wiedzę o aktualiach wsi. I później powstaje coś takiego jak telewizyjny serial: „W słońcu i deszczu".

— *Brakuje mi* — powiada, ćmiąc kolejnego papierosa — *częstych kontaktów nas, pisarzy pracujących na roli z tymi żyjącymi z pióra. Byłoby więcej zgłębionych powieści i reportaży literackich. Brakuje mi „Czytanek" moralizujących, nie po kaznodziejsku, ale zdecydowanie demaskujących wulgarny materializm wielu współczesnych nam w mieście i na wsi. Brakuje mi pamfletu. I nieprawda, że nie ma obiektów dla pamfletowego potraktowania. I wreszcie brakuje mi orientacji, jak mogę wydać książkę. Czy jest to w ogóle możliwe?!*

6.

W ostatnie dni czerwca 1980 r. Kazimierz nad Wisłą już po raz czternasty był miejscem Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych. Prawie 300 przedstawicieli rozmiłowanych w muzyce i śpiewie ziemi naszej udowodniło, że tradycja, kultura polskiego ludu są skarbnicą niewyczerpalną. Jedynym zespołem, jaki reprezentował województwo łódzkie, była kapela „Parzęczewiacy" z Parzęczewa. Zespół powstał dopiero w grudniu 1979 roku, a już zyskał powszechne uznanie jurorów oraz tysięcy słuchaczy i widzów. W nagrodę „Parzęczewiacy" koncertowali też w Nałęczowie. A w czasie nocy balowej, w której na kazimierzowskim rynku tańcowało sześćset par, a który to bal prowadził Stanisław Derendarz, niższy tej nocy tylko od „króla chłopów", Kazimierza Wielkiego, „Parzęczewiaków" najdłużej na estradzie trzymała nie milknącymi oklaskami i wiwatami rozbawiona publiczność.

— *A król Kazimierz* — opowiadał później — *z przyzwolinim poglundoł, do moich myśli i słów sie uśmichoł, gawyndy prawić zachyncoł.*

Wygłosił wtedy Stanisław Derendarz dziesiątki gawęd i anegdot. Słuchały go tysiące ludzi z całej Polski i z zagranicy. Jednodniówka festiwalowa „Burczybas" z 28 czerwca 1980 r. zamieściła powitalną mowę Derendarza, która tak oto się zaczynała:

— *Witej nom Kazimirzu!*

Mówił dalej, jak to przyjechał do Kazimierza PKS-em i zadziwiła go cisza. — *Dobze ze broda monarchy Kazimirza utwierdziła mnie gdziem przyjechoł, bo zdało my sie ze nawet som król my sie kłanio. A już to pewniek dwa lata tymu to pierszygo dnia w porze przedpołudniowy śpiw i muzyke beło w Bochotnicy słychać.*

Pozory, jak się później okazało, myliły. Ten festiwal był jeszcze bardziej huczny i ludny, w dorobek polskiej wsi bogaty. A skoro już padła nazwa starej Bochotnicy — to ona właśnie gościła na kwaterach „Parzęczewiaków". Sołtys i przewodnicząca KGW na ręce komisarza festiwalu przesłali dziękczynne pismo, pod niebiosy chwaląc kulturę i serdeczność artystów ludowych z podłódzkiego Parzęczewa.

— *Ale byłbym, mówiąc o festiwalu w Kazimierzu, pokrzywdził ziomków z województwa piotrkowskiego* — powiada. — *Duże brawa też zbierała kapela „Rzeczyca".*

Dlaczego nie wystąpiła w Kazimierzu „Moszczenica" — od lat renomowana, z tradycjami?

Trybunały Koronne w... przymoszczenickim Piotrkowie temu winne! W tym regionie, tak licznie uczęszczanym i na pograniczu trzech krain: Mazowsza, Małopolski i Wielkopolski leżącej, przemieszały się stroje, a i repertuar, co widać w tańcach, ubiorze i przyśpiewkach zespołu, że nie mogło to wszystko razem zyskać uznania specjalistów jurorów. Jak Opoczyńskie, to Opoczyńskie! Jak Rawskie, to Rawskie! Innymi słowy: zespół moszczenicki, w którym działa Stanisław Derendarz, musi wybrać.

Co wybierze? Jak się określi? Tego jeszcze nie wiem.

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

TADEUSZ PAPIER

W MOICH LIPCACH

Przez cały lipiec przebywałem poza Łodzią. Odwiedziłem rodzinne strony, które nieraz opisywałem w reportażach i powieściach. Jeden z rozdziałów „Cichych jezior" zaczynał się w ten sposób:

„Moje Lipce znajdują się w naszej wsi. To jest wieś rodzinna ojca, a przeto i moja. Najdawniejszy krajobraz to pola otoczone lasami z zachodu, północy i południa. Na zachodzie stoi las zwany Koteckim, na południu Wzgórza Strzałkowskie z górą Chełnicą. Nasze okna wychodziły na Chełnicę, codziennie spoglądałem na to wzgórze łagodne, a przecież wyniosłe, które zasłaniało widok, przecinało horyzont na pół, czasami znad wzgórza wychodziły chmury, raz czarne, siejące błyskawicami, raz pierzaste, pojawiające się niespodziewanie, to znowu kłębiaste, pełne śniegu. Chmury zbierające się nad lasem Koteckim miały inne barwy i kształty, może dlatego, że formowały się długo, a więc można się było do nich przyzwyczaić, ale i one były groźne, kiedy niosły ze sobą grzmoty i błyskawice..."

Najchętniej wracam do krajobrazu, który zapamiętałem z lat dziecięcych i młodzieńczych. Nie jest to ten sam krajobraz, który spotykam dzisiaj, choć jego główne elementy są te same. A więc pozostały te same wzgórza i lasy, które mimo że je wycinano, odrastały na nowo. Pozostała droga wysadzana wierzbami. Wierzba jest w tych stronach siostrą sosny. Obydwa drzewa, choć należą do różnych gatunków, posiadają tę samą właściwość: są wierne człowiekowi. Oderwiesz gałązkę wierzbie, posadzisz ją w ziemi, a na drugi rok zaczyna być drzewkiem. Sosnę sadzi się inaczej, ale ona, kiedy się rozrośnie, uczepi się ziemi i zostaje przy tobie do końca życia.

Krajobraz bez człowieka jest martwy. Wracam do mojego krajobrazu, gdyż wiążą mnie z nim ludzie. Przyroda: drzewa i łąki, sady i pola, ptaki i zwierzęta, przywołują dawne przeżycia i wzruszenia. Pewnego dnia, było to pod koniec lipca, deszcz przestał padać. Wieczorem niebo się uspokoiło i pokazały się gwiazdy. W sadzie, przy małym zarośniętym stawku (nie wykorzystanym gospodarczo) odezwały się żaby. Po raz pierwszy w tym roku usłyszałem rechotanie żab. Nie była to wielka orkiestra żabia, którą podziwiałem nieraz w młodości. Słychać było słabe rechotanie. Ale ten głos wywołał natychmiast dawne wzruszenie. Ożyły, zdawałoby się, martwe klisze. Ukazali się ludzie, z którymi kiedyś toczyliśmy spory. W naszych przeżyciach, w naszym wewnętrznym dialogu umarli znajdują się na równych prawach z żywymi. Na tych samych prawach znajdują się postacie ze snu i bohaterowie powieści. Są obecni w naszych myślach i słowach. Nie byliby obecni, gdyby ich życie nie było godne uwagi. I gdybyśmy sami nad tym nie pracowali. Nie zawsze nasza droga idzie równolegle do ich drogi. Czasami się odchyla; czasami idzie w przeciwnym kierunku. Stąd rodzą się różnice w naszych postawach.

Aleć oni żyli w innym czasie. Podlegali innym warunkom. Byli kształtowani przez inne siły. Można rzec, że żyli w innym krajobrazie. I stąd nieuchronne różnice zdań.

Książka Ryszarda Wojny „Rozmowy z ojcem" są ilustracją wzajemnego stosunku pokoleń. Wyraża się to w polemice syna z ojcem. Ale nie jest to przykład ani pierwszy, ani jedyny. Prawie każda współczesna powieść jest taką rozmową czy rozprawą między pokoleniami. Jedne wartości wznawiamy i pielęgnujemy, z innymi zrywamy. Postacie ojców i matek pojawiają się często na kartach naszych powieści. Ich tragedie czy konflikty z dziećmi są osią, wokół której buduje się fabułę książki. Oglądamy ten proces np. w „Nagim sadzie" Wiesława Myśliwskiego.

Bohaterowie książki, ojciec i syn, który wraca do rodzinnej wsi jako nauczyciel, nie znajdują wspólnego języka. *„Żyją obok siebie — samotni i zawiedzeni"*, jak określa to jeden z krytyków.

Te sprawy w różnych rozmiarach i tonacji znajdują odbicie w powieściach wielu współczesnych pisarzy. Ja również nie jestem wolny od tych pytań. Jedną z powieści opatrzyłem dedykacją: *„Lipcom — wsi Reymonta, Janinie — wsi ojca"*. Pierwsze zdanie książki brzmi: *„To jest mój ojciec..."*. A ostatnie: *„Był wrzesień, ojciec odprowadzał mnie na wojnę"*. Ale ja z moim bohaterem nie toczę ostrej polemiki. Rysuję krajobraz, w którym on żyje, geograficzny i społeczny, przedstawiam jego ambicje i marzenia, aby dzieciom dać wykształcenie, co w jego oczach równoznaczne jest z zerwaniem z wiejskim bytowaniem, przedstawiam jego poświęcenie. Moja polemika przebiega już niejako poza bohaterem i na innej płaszczyźnie. Konfrontuję czas ojca i czas, który jest dzisiaj. Te czasy są zbudowane z innych elementów. Ludzie żyjący w nich są także inni. Cofnąć się do poprzednich warunków nie można. Przyczyną niemożności takiego powrotu, jak to wynika z powieści Juliana Kawalca „Przepłyniesz rzekę", jest *„niemożność cofnięcia się w czasie, jest zmieniona sytuacja człowieka w świecie dzisiejszym"*.

Oto skąd rodzi się swojego rodzaju nieśmiałość, kiedy po latach przyjeżdżamy w rodzinne strony. Dostrzegamy każdą najmniejszą zmianę w krajobrazie. Lecz to nie budzi w nas większej obawy. Las, który zapamiętaliśmy, że sięgał nam po kolana, wyrósł dzisiaj, stał się borem. Bardzo łatwo i ze wzruszeniem przyjmujemy to do wiadomości. Natomiast to, co budzi nasze zaciekawienie (i jednocześnie nieśmiałość) to zmiany zachodzące w postawach ludzi, w ich losach, karierze. Spotykamy w naszej okolicy innych ludzi niż dawniej. I dlatego nasze kroki na starych ścieżkach są nieśmiałe i pełne zaciekawienia zarazem.

Z ZIMNĄ KRWIĄ

Wacław Opacki

Jeśli ginie milicjant, to rośnie poczucie zagrożenia w społeczeństwie, bo wydaje się, że przecięta zostaje jak gdyby bariera chroniąca życie normalnego obywatela. Jest to także ludzka tragedia. **Plutonowy Tadeusz Kołecki,** lat 26, pozostawił żonę, osierocił dzieci.

Po ukończeniu szkoły podoficerskiej w Poznaniu przeniósł się w rodzinne strony. **W komisariacie w Lubawie** pracował półtora roku, a zamieszkał w Zielowie, a więc tam, gdzie się urodził, dojeżdżając codziennie do pracy motocyklem. Okolice znał więc doskonale. **8 lipca 1980 r.** służbę zaczął o szesnastej i jak zwykle w czasie pełnienia patrolu, którego tu był dowódcą, objeżdżał teren. W okolicy było w tym czasie kilka zabaw, w pobliżu których na wszelki wypadek trzeba było się znajdować. Ale patrol przebiegał spokojnie, żadnej bijatyki czy też włamania. O godzinie 0.45 wrócił do komisariatu. Koledzy z patrolu zdali broń i poszli do domu. Jemu widocznie nie za bardzo chciało się jechać w tę lekko dżdżystą pogodę, bo zwlekał aż półtorej godziny. O 2.10 jednak wyszedł, wsiadł na motor, by przemierzyć dziesięciokilometrowy odcinek drogi dzielący od domu. Ubrany był w mundur, płaszcz, na który założył jeszcze futrzaną kurtkę.

Z samego rana plutonowy Tadeusz Kołecki nie stawił się do kolejnej służby. O godzinie 6.30 w komisariacie MO w Lubawie zadzwonił telefon pochodzący od miejscowego ajenta prowadzącego stację CPN. Zawiadomił, że minionej nocy dokonano w jego stacji kolejnego włamania. Kilkanaście minut później ekipa śledcza była już na miejscu. Dokonała zabezpieczenia śladów włamania i przystąpiła do pierwszych ich badań. Ściągnięto psa, który zaprowadził do pobliskiego zagonu buraków cukrowych, gdzie znaleziono porzucony łańcuch rozrządu od małego „Fiata" i końcówkę drążka układu kierowniczego. I tu ślad się urwał, także trop dla psa.

W porze obiadowej wrócono do sprawy nieobecności Tadeusza Kołeckiego. Nie zjawił się w pracy, a więc musiało się coś stać. Funkcjonariusz milicji wie, że musi uprzedzić o każdym spóźnieniu na planowaną służbę lub w wypadku „wyskoczenia czegoś" zawiadomić o tym natychmiast przełożonych. I to nie dla samej zgody z przepisami, ale dla uprzedzenia niepotrzebnego zdenerwowania i ewentualnych poszukiwań. Musiało się więc coś stać. Po kilku godzinach z komisariatu ruszył por. Czudec sprawdzić, co się stało z Kołeckim. W domu go nie zastał. Żona wie tyle samo co i on: do pracy się nie stawił, ale do domu po nocnej służbie również. Niewiele porucznikowi pomogą rodzice i krewni Kołeckiego. Potem powrót do Lubawy. Przekazywanymi informacjami wzbudza niepokój w komisariacie. Może miał gdzieś w drodze do Zielowa wypadek, może... Sprawdza się każdy metr drogi. Niestety, bez rezultatu. Brak jest jakichkolwiek śladów.

Jeszcze tego samego dnia o prawdopodobnym zaginięciu zostaje powiadomiona Komenda Wojewódzka MO w Olsztynie, skąd przyjeżdżają natychmiast oficerowie. Prawie setka ludzi — funkcjonariuszy i członków ORMO penetruje każdą piędź ziemi w promieniu kilku kilometrów od Lubawy. Nie omija się strumyków, jezior, stawów. Bez rezultatu. Śladu Tadeusza Kołeckiego — lub raczej jego ciała, bo ta myśl coraz bardziej zaprząta umysły grupy śledczej, obnażając zarazem tragiczny jej charakter — nie ma.

10 lipca 1980 r. z Biura Dochodzeniowo-Śledczego i Biura Kryminalnego KG MO przyjeżdża grupa specjalistów. Dni jednak płyną i żadnego rezultatu. Zostaje zastosowana termowizja, fotografująca sylwetki ludzi przebywających w danym miejscu przed kilkoma godzinami. Wykryje ona także poruszoną ziemię. Do jej obsługi przyjeżdża natychmiast doc. dr hab. Hubert Kołecki (zbieżność nazwisk przypadkowa) z Wydziału Prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Doc. Kołecki jest zarazem konsultantem naukowym Biura Kryminalnego. Helikopter z wmontowaną termowizją rozpoczyna loty nad terenem.

Nadal bez rezultatu. I wtedy, 14 lipca 1980 roku, po godzinie piętnastej do grupy śledczej przychodzi informacja potwierdzająca niestety wcześniejsze przypuszczenia: dwóch wędkarzy łowiących ryby w Jeziorze Ornowskim, leżącym w odległości 28 km od Lubawy, zauważyło unoszące się na powierzchni wody ciało. Identyfikacja dokonana przez funkcjonariuszy była tylko formalnością. Na ciele koszula i spodnie, brak zaś jest munduru, futrzanej kurtki, raportówki. W pobliżu nie ma też motocykla.

Sekcja zwłok wykazuje liczne ślady obrażeń na całym ciele, w tym 12 ran na głowie. Ciosy zostały zadane lekkim i tępym narzędziem. Kołecki musiał się bronić, o czym świadczy rozcięcie palca lewej ręki. Ciało wrzucone do jeziora było martwe, gdyż oględziny zwłok wykazują brak rozedmy płuc. Liczba uderzeń, jak i ich rozłożenie wskazuje na to, że morderców było dwóch, albo co najmniej dwóch.

A więc zakończyliśmy I etap śledztwa, zmierzającego do odnalezienia Kołeckiego, gdzie nie było się czego chwycić, brakowało punktu zaczepienia. Szukaliśmy po prostu w ciemno. W tym etapie dokonaliśmy mrówczej pracy przeszukania olbrzymiej powierzchni województwa, będąc już przekonanym właściwie, że Kołecki został zamordowany. Przeprowadziliśmy tysiące rozmów z ludźmi, szukając najdrobniejszego śladu.

Nadal trwa energiczne śledztwo. Szukamy najdrobniejszego śladu mogącego mieć coś wspólnego z morderstwem. Suma takich śladów może czasami dać poszlakę, skąd już niedaleko do wykrycia sprawców. Wszyscy pracują w pocie czoła, nie ma dnia ani godziny wolnej, noce są niedospane. Wśród tych takich mało znaczących wydawałoby się śladów znaleziono nad jeziorem kawałki żółtego materiału wzorkowanego kwiatkami. Także opodal rozrzucone skrawki materiału frotte z ciemnymi plamami, wskazującymi chyba na... krew. Szybka analiza daje dodatkową informację: taki materiał spotyka się w zakładach produkcyjnych, gdzie używany jest smar, po którym czyści się nim ręce. Potwierdza się także inne przypuszczenie: materiał jest przesiąknięty krwią ofiary.

15 lipca 1980 r. dno Jeziora Ornowskiego przeszukują już nurkowie. Odnajdują motocykl, kask, kurtkę, także raportówkę, w której znajdują się skrawki materiału frotte oraz bloczki kuponów od 1 do 100 dolarów, jakich cudzoziemcy używają do zakupu w Polsce benzyny. Jak się okaże — pochodzą one ze stacji benzynowej w Lubawie. A więc istnieje oczywisty związek włamania do stacji benzynowej ze śmiercią plutonowego Tadeusza Kołeckiego. Na stacji benzynowej zostaje zastosowany luminol — substancja, która po zetknięciu się z krwią zaczyna w ciemności świecić. Ale we wnętrzu brak efektu, stąd wniosek, że bójka miała miejsce na zewnątrz budynku stacji CPN.

Opracowano już około 50 wersji śmierci funkcjonariusza. Każdą się sprawdza. Rozmowy z ludźmi, kontrole setek miejsc — bez widocznego efektu. A teczki materiałów śledztwa mają coraz większe rozmiary. 900 protokołów przesłuchań, kilka tysięcy notatek, rozmów z ludźmi, ale tych nie zarejestrowanych rozmów nikt nie zliczy. Miejscowa „Gazeta Olsztyńska", która poprzednio ogłaszała apele do społeczeństwa o pomoc w śledztwie otrzymuje liczne odpowiedzi. Sprawdzamy je. „Gazeta" pisze także:

„Tamtej chmurnej nocy, jadąc już do domu Kołecki musiał dostrzec rzecz, która wydała mu się podejrzana. Choć był już po służbie, pozostał wierny złożonej przysiędze i przystąpił do działania. I musiało to być działanie, które zagroziło komuś tak dalece, że nie wahał się zabić, a zwłoki utopić w jeziorze".

Czas płynie, a widocznych efektów nie widać. W grupie śledczej obserwuje się widoczne zdenerwowanie. Ale nie załamuje się rąk. Znowu setki rozmów, inwigilacja wielu podejrzanych osób i miejsc. Żadnego śladu wskazującego na jakikolwiek związek z morderstwem.

I wtedy **kapitan Wacław Zega,** który otrzymał do rozpracowania sprawę kawałków materiału składa rękawiczkę ze znalezionych żółtych ścinków. Ekspertyza przysłana z Centralnego Laboratorium Przemysłu Włókienniczego w Łodzi brzmi: materiałem jest „etamina 90" pochodząca z Zakładów Przemysłu Odzieżowego im. II Armii Wojska Polskiego w Bielawie. W Bielawie odpowiedzieli, że wyprodukowali tego 77 tysięcy metrów w 1977 roku, i na tym skończyli, a największym odbiorcą były Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Truso" w Elblągu. Ścinki znalazły się u boku morderców, którzy użyli je do wytarcia krwi, a więc trzeba strzelać: **zawęzić grono podejrzanych do pracowników „Truso".**

Tak. Nic prostszego. Ale „Truso" to jeden z najbardziej osobowo licznych zakładów produkcyjnych stutysięcznego Elbląga. Współpraca z Komendą Wojewódzką MO w Elblągu pozwala jednak na ułożenie listy typowanych sprawców. Wśród nich jest **Joachim Z.,** lat 29, właściciel „trabanta", żonaty, dwoje dzieci, na koncie mający kradzieże, włamania na terenie Elbląga i województwa, plus wyrok dwa lata i pół roku więzienia. Z pracy zwolnił się 30 lipca 1980 r. I drugi — **Henryk G.** pracujący jako tokarz, lat 19....

Sami wskazują na siebie. Czując, że krąg podejrzanych się zacieśnia usiłują popełnić samobójstwo. Młodszemu brakuje jednak odwagi, i zawiadamia pogotowie ratunkowe, które z kolei powiadamia milicję.

U Henryka G. zastaliśmy m. in. listy przez niego napisane. Pisał do swojej dziewczyny:

„Godz. 22.15. Elbląg. Kochana Reniu! Reniu przepraszam cię za wszystkie przykrości, które ci wyrządziłem. Piszę do ciebie ostatni list w swoim życiu i proszę cię, ażebyś nie płakała, trudno, stało się tak jak los chciał. Szkoda, że nie zakończyło się tak jak sobie zaplanowaliśmy, nie zostaliśmy małżeństwem, bo na pewno byłabyś dobrą żoną i matką dla dzieci, które byśmy mieli. Nie jestem jedynym chłopakiem w Elblągu i na pewno sobie życie jakoś urządzisz. Ten zegarek niech będzie dla ciebie pamiątką po mnie i od czasu do czasu wspomnij o mnie i przynieś dla mnie jeden kwiatek na dzień zmarłych. Na tym kończę i całuję cię mocno. Pamiętaj, że zawsze cię kochałem i przez te lata nigdy, nigdy nie zdradzałem. Wybacz. Heniek".

Henryk G. przyznał się już podczas pierwszego przesłuchania. Joachim Z. — nie. Zrobi to, gdy przedstawi mu się nie do zbicia dowody.

Henryk G. zeznał, że w chwili ucieczki z miejsca włamania wpadli prosto na nadjeżdżającego motorem Kołeckiego. Funkcjonariusz wysiadł i zażądał dokumentów. Dali mu je, ale on zauważył coś podejrzanego na stacji benzynowej. Oni to zauważyli, więc wypadki potoczyły się błyskawicznie. Jeden uderzył metalowym kluczem. Gdy stawił opór, uderzenia poleciały już seriami...

Henryk G. wsiadł na motor, Joachim Z. za kierownicę „Trabanta". Pojechali nad Jezioro Ornowskie, gdzie zdarli z ciała płaszcz i mundur, ciało wrzucili tak jak i motor z kaskiem do wody. W raportówce schowali celowo wzory kuponów dolarowych, zabrali pieniądze z portfela Kołeckiego. Zorientowali się, że nie mają przy sobie dokumentów, wrócili więc na miejsce zbrodni i odnaleźli je. Kołecki widocznie podczas napadu zorientował się, że nie ma szans, więc chciał przynajmniej zostawić ślad, wyrzucając dokumenty.

Obydwaj na wizji lokalnej odtworzyli jednakowo przebieg mordu. Wizję zarejestrowaliśmy na taśmie magnetowidowej.

O przebiegu akcji śledczej mówił kpt. Mieczysław Willman, zastępca naczelnika Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej MO w Olsztynie.

PS. Proces podejrzanych o zabójstwo milicjanta rozpocznie się wkrótce.

LUDZIE I PSY

WIESŁAW MACHEJKO

1.

— Rano wyszedłem z Ajaxem na spacer. Kiedy przyszliśmy na skrzyżowanie ulicy Andrzeja i Hutora pies dał mi znak, że przejście dla pieszych jest wolne. Szarpnął i poszedł. Ja metr za nim. W tej samej chwili usłyszałem ryk autobusu, huk uderzenia i skowyt Ajaxa. Samochód przeleciał tuż przede mną.

Zacząłem wołać:

— Ludzie, co to za autobus? Uderzył mojego psa, mógł mnie zabić!

Ktoś powiedział: — to autobus linii „81".

— Ajax wrócił do nogi, przytulił się, cały drżał.

— Ajax, piesku, co ci jest? Możesz iść do domu?

Odpowiedział, że tak. W domu zdjąłem mu obrożę. Tego dnia nie włożyłem mu specjalnych szelek, gdyby je miał wprowadziłby mnie pod samochód. Pytam więc dalej: — Ajax, przyjacielu, żyjesz? Odpowiedział: hau, to znaczy „żyję", ale tak jakoś słabo. Zaprowadziłem go zaraz do lecznicy na Kopernika, ale tam już nie mogli mu pomóc.

I tak straciłem Ajaxa — najwierniejszego przyjaciela.

Stanisław Stefanowicz kończy złamanym głosem. Ręce utykające pracowicie włos szczotki drżą...

— Mieszkaliśmy tu razem wiele lat.

Wskazuje leżankę za szafą, przy drzwiach.

— Tu jest obroża Ajaxa, tu jego tapczanik. Nie będą mu już potrzebne. Zostałem sam.

Teraz już można zrozumieć, dlaczego ten człowiek mówi o psie: *„spytałem go...", „odpowiedział mi...".*

Niewielka notatka z „Dziennika Popularnego" poszukująca świadków opisanego wypadku uchyla rąbka ciemnego świata ludzi niewidomych, ich problemów. Jednym z nich są właśnie psy — pełniące funkcje przewodników.

2.

Opowiada Henryk Tuszyński z Ozorkowa.

— Miałem psa przewodnika. Otruto mi go. Boże! Ileśmy się z żoną napłakali. To był wspaniały pies. Mogłem mu całkowicie zaufać, kiedy przeprowadzał mnie przez jezdnię. On doskonale wiedział, gdzie kiosk, gdzie poczta, gdzie sklep... Mówiłem: idziemy do parku, piesku, i prowadził do parku. Kiedy go zabrakło kupiłem na rynku tego. — Pokazuje niedużego mieszańca o bystrym, inteligentnym pyszczku. — Uczyłem go sam trzy miesiące. Z początku nie chciał prowadzić, ale potem nagle jakby zrozumiał o co chodzi. I teraz mam z niego pociechę. Później otrzymałem ze Związku Niewidomych czarnego owczarka „Metala". Jest kształcony w specjalnej szkole milicyjnej. Jest jeszcze młody, niecierpliwy... Może wprowadzić pod samochód, bo nie rozróżnia świateł na przejściu. Ale ani jeden, ani drugi nie zastąpią tamtego... Wiem, kto go otruł. Wiem, skąd pochodziła trucizna. Wiem, że przeszkadzał chłopakowi odwiedzać dziewczynę, której wynajęliśmy pokój. Ale, kiedy oni zobaczyli mój płacz i rozpacz całej naszej rodziny, zrozumieli swój czyn! Błagali oni, prosili ich rodzice, żeby nie karać ich za to. Wiedziałem dobrze czym grozi otrucie psa przewodnika. Darowałem. Ale to byli źli, bardzo źli ludzie...

Źli ludzie. I ów kierowca autobusu MPK, który na przejściu dla pieszych omal nie zabił niewidomego, prowadzonego przez doga arlekina, a potem nie miał odwagi przyznać się do wypadku. I ów Don Juan skradający się w skarpetkach do dziewczyny. I ci świadkowie, którzy mimo wezwań w prasie nie zgłosili się do Wydziału Ruchu Drogowego MO. Dyrekcja MPK zbadała sprawę. Krąg podejrzanych zacieśnił się do pięciu, siedmiu osób. Nie przyznał się nikt. MPK postanowiło mimo to zapłacić stosowne odszkodowanie i wynagrodzić krzywdę moralną Stanisławowi Stefanowiczowi. Milicja wobec braku świadków musiała zamknąć dochodzeniową teczkę. Niewidomy z Ozorkowa przebaczył.

3.

Ale o samym problemie niewidomych i psów przewodników warto wiedzieć nieco więcej. Oto w Miłkowicach koło Warszawy mieści się Ośrodek Tresury Psów Milicyjnych. Jego komendant, pułkownik lek. weterynarii Roman Milewski, mówi, że obok przygotowania psów dla potrzeb milicji każdego roku treserzy w czynie społecznym przygotowują 18 do 20 psów do roli przewodników niewidomych. Psy te muszą się wyróżniać spokojem i łagodnością, więc posiadać cechę niekonieczną w służbie obronnej. Ich tresura przebiega inaczej i jest — twierdzi pułkownik Milewski — nawet trudniejsza niż w wypadku tresowania psów do wykrywania narkotyków. Psy dla niewidomych muszą chodzić wolniej, sygnalizować przeszkody o wysokości równej prowadzonemu człowiekowi, muszą go ostrzegać i w razie potrzeby bronić. Nie potrafią natomiast, wbrew przekonaniu niektórych niewidomych, reagować na światła sygnalizacyjne, bo po prostu nie rozróżniają kolorów.

W kontakcie z niewidomym rolі psa nie wolno przeceniać. Spełnia on na pewno kilka funkcji pomocniczych, jednak nie zastąpi nigdy ludzkiego wzroku. Jest przede wszystkim przyjacielem w chwilach ciężkiego żywota ludzi pozbawionych widoku świata, jest ich obrońcą. To dużo. A jednocześnie to tylko tyle.

Warto też wiedzieć, że nie każdy niewidomy może mieć psa przewodnika. Zachodzi tu bowiem konieczność subtelnego zgrania charakterów, temperamentów, nawet kwestia przywiązania i zaufania. Pamiętajmy bowiem, że po stronie ludzkiej mamy do czynienia z istotą, której sytuacja, nastroje, reakcje i zachowania mogą ulegać gwałtownym zmianom. Zaś pies jest tylko zwierzęciem i często nie może pojąć, co też właśnie stało się jego panu.

Dlatego też Polski Związek Niewidomych bardzo wnikliwie rozpatruje podania o przydział psów przewodników. Kiedy już prośba taka zostaje zaakceptowana przez odpowiednią komisję społeczną, przyszły posiadacz pojedzie na tydzień lub dwa do Ośrodka w Miłkowicach. Tam treserzy z MO dopasowują mu odpowiedniego psa. Takie dopasowywanie rzadko udaje się od razu. Ale w końcu pan i jego pies, po wielu wspólnych próbach, przypadają sobie do serca i tworzą nieodłączną parę. Na jak długo? Jeśli nie zdarzą się sytuacje takie jak opisane powyżej, to dziesięć i więcej lat. A jeśli zajdą — to do śmierci.

P.S. Rozumiejąc trudną sytuację w jakiej znalazł się p. Stanisław Stefanowicz — Ośrodek Tresury Psów Milicyjnych w Miłkowicach, wspólnie z Polskim Związkiem Niewidomych postanowiły przygotować i przydzielić niewidomemu psa przewodnika wyszkolonego niejako „ponad plan". Za to treserom z MO serdeczne podziękowanie.

Foto: Autor

ZMARTWIENIA KSIĘCIA FILIPA

Dalszy ciąg ze str. 1

Można np. z góry odtworzyć przebieg rozmowy telefonicznej londyńczyka ze znajomym cudzoziemcem. Najpierw radość z przyjazdu gościa, potem uprzejme pytanie o pogodę, wreszcie życzenia miłego pobytu. Zwroty, jak z podręcznika do nauki języków obcych. Nieprzyzwyczajeni do tak sztywnych schematów, nawet uchodzący za dobrze wychowanych w swoich krajach cudzoziemcy marzą w duchu, aby Anglicy choć raz się pomylili i zamiast o pogodę zapytali np. o zdrowie, albo zmienili wyrażenia. Nic z tego.

Nie sądź jednak, uparty przybyszu z kontynentu, iż przebogaty angielski język sprowadzają wyspiarze do kilkudziesięciu utartych formułek. Wystarczy, że pomieszkasz tu dłużej, a możesz usłyszeć słowa, które znasz tylko z lektury. Któż by na przykład pomyślał, że wytworna starsza obwieszona brylantami dama, wykrzykująca od rana na służbę słowami, wśród których „cholera" brzmi łagodnie i słodko, to rodowita Angielka. Właściciel domu, u którego wynajmujesz pokój, zapomniawszy o grzecznościowych formułkach któregoś dnia zrobi ci kolejną awanturę, zabroni gotować, wyłączy telefon i nie położy się spać, dopóki nie zgaśnie światło w pokoju lokatora. Właściciel restauracji, mimo iż sam nosi wąsy, nie pozwoli kelnerom na tę typowo męską ozdobę. Ach, ta brytyjska tolerancja! Cytowany już znawca brytyjskich dusz, K. Harris, uważa, że: **„Brytyjczycy są hipokrytami; jeśli Anglik przekroczył prawo, wszystko jest w porządku dopóty, dopóki nie zostanie wykryty. Gdy go wykryją, wszystkim jest ogromnie prykro i wszyscy są ogromnie zażenowani, łącznie ze zdemaskowanym** — pisze. — **Lecz jeśli tylko dość żarliwie przeprasza i, broń Boże, nie stara się dowieść, że to może prawo jest niewłaściwe, lub ci, co je sprawują, nie mają racji, istnieje szansa, że brzydki postępek zostanie mu przebaczony".**

Brytyjski gentleman coraz częściej zmienia się w chuligana, zwłaszcza na stadionie sportowym, gdzie mają miejsce bójki i awantury. Raporty Scotland Yardu notują również zwiększającą się liczbę napadów ulicznych, rozbojów i przestępstw. Straty poczynione przez wandali kosztują państwo blisko 170 milionów dolarów rocznie. Nic więc dziwnego, że klasa średnia ma już dosyć. Klasa średnia tęskni za starą, wesołą Anglią.

Łaknący porządku i ładu Brytyjczycy zrzucają po pracy garnitury i ubierają się na przysłowiowym „luzie". Najczęściej w stare spodnie i swetry. „Na luzie" noszą się też Angielki. Mając do dyspozycji doskonałą gotową konfekcję i sklepy, w których kupowanie jest samą przyjemnością, w większości hołdują stylowi, który projektanci określają jako styl poza modą. Zmieniają się kolory, długości spódnic i żakietów, ale koszulowe bluzki, szetlandzkie swetry i angielskie kostiumy miały, mają i będą miały swój szczyt. Do „Topshopów", czyli sklepów z ostatnimi krzykami mody, zagląda najczęściej młodzież. To dla niej stosy odzieży, nieustanna muzyka i sklepowe kawiarenki.

Dwa razy do roku w Brytyjczykach ożywa chęć posiadania. Za pół ceny, w czerwcu i lipcu, można zaopatrzyć się w co tylko dusza zapragnie nieomal na cały rok. Przed słynnymi domami towarowymi ustawiają się wówczas długie kolejki. Opłaca się przecież kupić sweter za dwa funty, jeśli normalnie kosztuje 12—15 funtów. Na przecenę przyjeżdżają do Londynu nawet sąsiedzi znad Sekwany. W Paryżu odzież jest znacznie droższa, a przeceny nie tak znaczne. I tych znad Sekwany, i tych znad Tamizy łączy wspólny nawyk oszczędzania.

W angielskich domach sprzyja oszczędności również konserwatyzm i hołdowanie tradycji, nad upadkiem której tak ubolewają angielscy politycy. Tak jak za czasów Dickensa, mieszkania ogrzewają tu kominkami, tyle, że duch czasu zamienił je na elektryczne lub gazowe (centralne ogrzewanie posiadają tylko nowoczesne i zamożne domy). Kominek, podobnie jak lampa, włącza się po wrzuceniu monety. Zabrakło ci pensów, będziesz siedział po ciemku w zimnym pokoju. Nigdzie nie wymienia się hipotermii jako przyczyny śmierci w nieogrzanych mieszkaniach. Przypuszcza się jednak, że każdego roku umiera z tego powodu około 50.000 Brytyjczyków. Należność za ogrzewanie i światło nie idzie do kieszeni właściciela mieszkania. Pobiera ją kasjer elektrowni, podobnie jak opłaty za wodę. Ciepłą kąpiel w łazience możesz sobie zafundować po wrzuceniu monety do licznika. Nic więc dziwnego, że panie domu nie pozwalają zmywać naczyń w bieżącej wodzie, używać wentylatorów i pochłaniaczy zapachów, bo to kosztuje. Zachęcają gorąco do kąpieli w chłodnej wodzie. A my, na kontynencie, myśleliśmy, że to dla zdrowia. Mimo trudności, efekty są widoczne. O każdej porze dnia, nawet w najbardziej zatłoczonym metrze, Angielki są schludne i świeże, jakby przed chwilą wyszły z łazienki i zrobiły makijaż.

W lodowatych, wilgotnych angielskich sypialniach ściele się specjalnie łóżka, aby straty ciepła były jak najmniejsze. Łoża, z podwiniętymi pod materac kocami i prześcieradłami, przypominają mocno zabandażowany kokon, w którym trudno się poruszyć. Nic więc dziwnego, że wyzwalająca się spod siły tradycji i traktująca bez uprzedzeń seks brytyjska młodzież wyśmiewa sypialnie rodziców i woli się kochać nawet na trawie w Hyde Parku. Angielskim trawnikom zupełnie to nie szkodzi. Biada jednak cudzoziemcom, jeśli spytają, co trzeba czynić, aby mieć taką trawę.

— **Nic** — usłyszą w odpowiedzi. — **Trzeba ją tylko strzyc i podlewać przez pięćset lat.**

Europejczycy i Azjaci skłonią z szacunkiem głowę przed potęgą tradycji, ale Amerykanie, Kanadyjczycy czy Australijczycy wychodzą z takiej potyczki pobici na głowę.

Nie jest jeszcze tak źle z upadkiem anglosaskiej tradycji, skoro ostatnie wydanie popularnego przewodnika Nicholsona, w rozdziale poświęconym pomocy społecznej, na stronie 154 podaje:

„Jeśli zauważysz, że sąsiad bije żonę, zadzwoń do lokalnej pomocy społecznej lub do Federacji Kobiet".

Bicie żon (tak, tak), podobnie jak chłosta w szkołach, to także przejaw kontynuowanej brytyjskiej tradycji. O podtrzymanie tej tradycji walczą także kościoły. Na ogół świecą pustkami i prześcigają się w metodach zachęcających do wstąpienia wiernych choć na chwilę. Świątynie anglikańskie, których głową jest królowa, zapraszają więc na lunch, na odczyt i na koncert. Konkurencja jest duża i dzięki temu w londyńskich kościołach można posłuchać naprawdę dobrej muzyki. Do rywalizacji o ludzkie dusze stają także liczne sekty i religie Wschodu. Osiągają jednak niewielkie skutki, gdyż młodzi ludzie są w większości, jeśli nie wojującymi ateistami, to obojętnymi religijnie.

Na kontynencie utarł się obraz wysportowanego Brytyjczyka. Faktycznie, 3 miliony Anglików uprawia wędkarstwo, popularna jest gra w golfa, krykieta i w piłkę nożną. Nawet w centrum Londynu często widzi się rowerzystów i biegających panów. Powoli jednak, uprawianie sportu zastępuje kibicowanie. Anglicy kibicują meczom piłki nożnej, wyścigom konnym i motorowym, gdzie dają upust namiętności do hazardu, która — jak się okazuje — wcale nie koliduje z oszczędzaniem. Bardzo popularne, dające okazję do zakładów, są wyścigi psów, goniących za mechanicznym zającem. Podobno jeden z polskich emigrantów, zapalony kibic psich wyścigów, po większej przegranej puścił na tor wyścigowy kota. Startujące charty zgłupiały i zamiast za sztucznym zającem, pędziły za żywym kotem. Cóż to się wtedy działo! Musiano odwołać zakłady i wyścigi, a brytyjska policja nie poznała się na tym, bądź co bądź niezłym kawale, i wsadziła winowajcę do aresztu. Na czoło jednak brytyjskich hobby wysuwa się ogródek. Zadbany trawnik przed domem, to chluba pana domu, który nie szczędzi na ogrodnictwo czasu i pieniędzy.

Uosobieniem tradycji i trwałości Brytanii jest rodzina królewska. Przy odrobinie szczęścia cudzoziemiec może zobaczyć królową na balkonie pałacu, podczas publicznych ceremonii, lub całkiem zwyczajnie — przejeżdżającą ulicą w czarnej limuzynie. Policjanci salutują wówczas z szacunkiem a turyści przystają z zaciekawieniem.

Starsze pokolenie patrzy na monarchinię z szacunkiem i sentymentem. Młodsze — drwi sobie w żywe oczy, z radością czyta wywiady, w których na przykład książę Karol najwyraźniej bawi się własną osobą, tak jak w „Paris Match":

— Czy chciałby Pan popłakać sobie na mym ramieniu? — pyta interlokutor księcia Karola.

— Dziękuję, wolę na kanapie.

— Czego wymaga Pan od kobiety?

— Żeby była Angielką i umiała jeździć konno.

— Czy pańscy rodzice rozumieją się dobrze nawzajem?

— Tylko, jeśli głośno krzyczą. Pałac Buckingham jest taki wielki.

I tak dalej, w podobnym stylu. Dodajmy, że gazeta jest francuska. Brytyjskie nigdy by sobie na podobny styl nie pozwoliły.

Brytyjczycy szukają namiętnie nowych autorytetów i bohaterów. Jednym z przykładów może być znakomita wystawa fotograficzna A. Newmana „Wielcy współcześni Brytyjczycy" zorganizowana wiosną 1980 roku w Galerii Narodowej. W doborze portretowanych osób pomagali dziennikarze z **„The Sunday Times"**. Fascynująca pod względem artystycznym wystawa była także znakomitym obrazem stosunków społecznych. Wśród portretowanych znaleźli się naukowcy, prawnicy, sportowcy i politycy. Było zdjęcie projektantki mody, Mary Quant i wielkiego mistrza sceny, lorda Oliviera. Ci nowi bohaterowie są więc w pewien sposób odbiciem nastrojów społeczeństwa, w którym **„nikt nie powinien wstydzić się swej mieszczańskości"**, jak pisze P. Johnson, autor książki **„O wrogach społeczeństwa"**. Główne przyczyny kryzysu społecznego widzi on w szalonych latach sześćdziesiątych, kiedy to Brytyjczycy przestali rządzić Imperium, a dotychczasowy porządek rzeczy spotkał się z gwałtownym atakiem młodzieży.

Wszystkiemu winien zbytni liberalizm — wołają dziś jedni. Gorsza jest niepewność, bezrobocie wśród młodzieży i coraz większe rozczarowanie społeczeństwa — dodają drudzy. Konserwatyści, z panią Thatcher na czele, nawołują więc do powrotu do starych, utartych wzorów, co, niestety, nie jest już łatwe. Temperatura nastrojów na Wyspie przypomina więc temperaturę wrzenia i tylko patrzeć, jak wrzące nastroje wykipią.

MAŁGORZATA GOLICKA

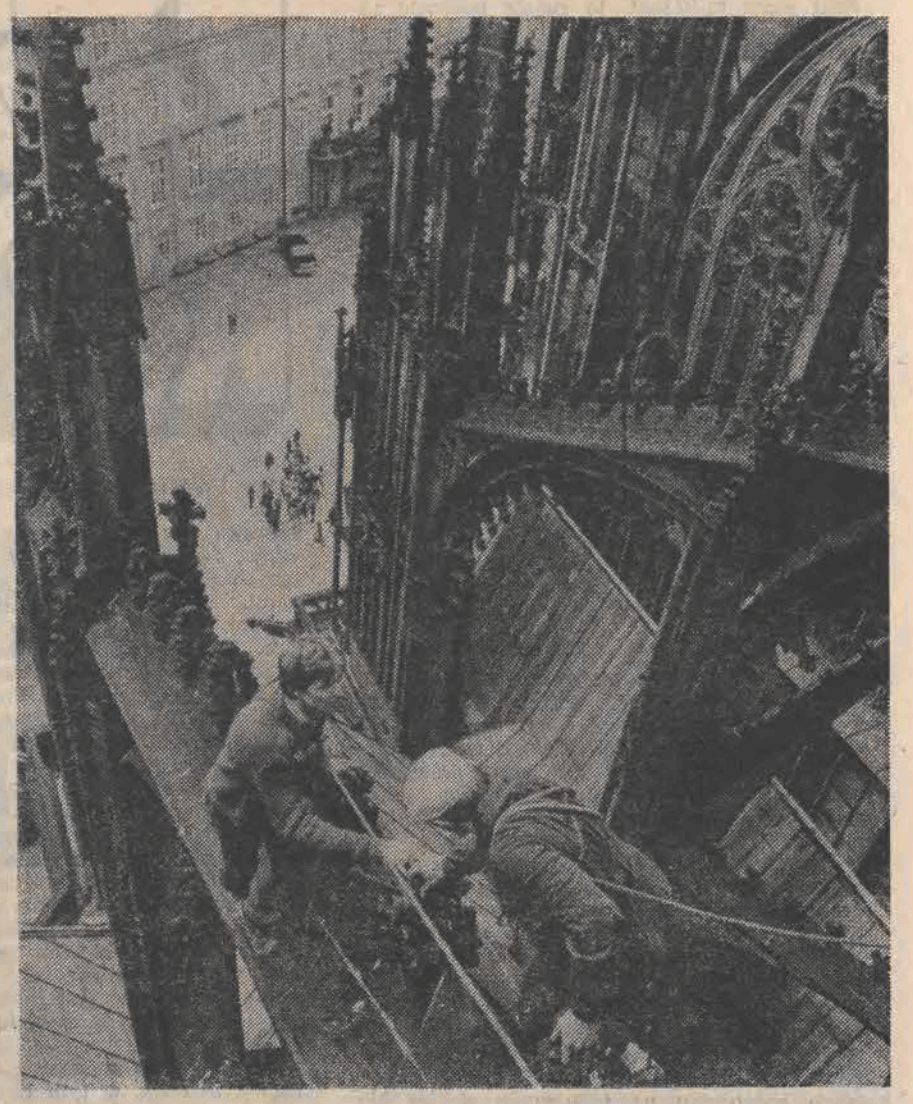

Foto: Archiwum

Któregoś pochmurnego, lipcowego dnia Polak mający akurat krótką przerwę w pracy i dysponujący wolną sumą tysiąca pięciuset złotych, postanowił zdradziecko, w tajemnicy przed żoną, nie kończyć tygodnia w żadnej łódzkiej restauracji, gdzie w ciągu jednej nocy można przepuścić trzy razy tyle, a nad ranem, w stanie miłego, alkoholowego upojenia, znaleźć się, bez zegarka i spodni, na ławce w parku albo w jakimś zacisznym, podmiejskim rowie, nie! Polak ów, zaciskając zęby, jako że był jednostką wyjątkowo ambitną, zdecydował, iż tym razem nie podda się żadnym szablonom i przepuści nadwyżkę rodzinnego budżetu w czeskiej Pradze.

Pierwsza miła niespodzianka spotkała go w banku; za tysiąc złotych dostał prawie czterysta koron. Na dworcu Łódź-Kaliska serce zaśpiewało w nim ponownie: powrotny bilet kolejowy drugiej klasy do Pragi kosztował tyle, co bilet pierwszej klasy do Wrocławia. Miejsc sypialnych niestety nie było, ale nasz rodak kochany pomyślał, że da sobie jakoś radę.

Dalszy ciąg ze str. 1

Michaił — do którego w gościnę trafiam u boku zaprzyjaźnionego łódzkiego księgarza, Benka Wandachowicza — pracuje w dyrekcji jednego z moskiewskich przedsiębiorstw budowlano-remontowych. Ekonomista z wykształcenia. Czołgista, z okresu wojny, odznaczony Orderem Czerwonej Gwiazdy. Uważa, że zrobił karierę. Nie tylko zawodową i społeczną lecz również finansową: mieszkanie pełne oczywistych oznak dobrobytu.

— Ale udzielać się społecznie też trzeba — powiada dla uzupełnienia. Nie bez powodu: jest aktywnym „drużynnikiem", czyli odpowiednikiem naszego ORMO-wca. W tym też charakterze pełni olimpijskie dyżury na ulicach Moskwy.

— Czekam, aż to się skończy! — stwierdza nagle, wskazując głową kolorowy ekran telewizora, wypełniony transmisją z Igrzysk Olimpijskich. Podsuwa nam równocześnie dwukilogramową puszkę czarnego kawioru, z której zaczerpujemy łyżkami tę niezwykłą zakąskę do nie mniej oryginalnej cza-czy. **— Jedzcie, jedzcie, nie krępujcie się!** — ponagla nas **— Ot, po tutejszemu, po rosyjsku! Z serca i duszy.**

— A czekam, aż się Olimpiada skończy, żeby pojechać wreszcie na urlop! — wyjaśnia po chwili.

W kilka dni później uparł się, żeby odwieźć nas do hotelu — przez całą Moskwę, na jej północno-wschodni kraniec. Uparł się, chociaż na czas Olimpiady wprowadzono ograniczenia do niektórych rejonów. Michaił przepustki nie ma, wiezie nas jednak pewnie i spokojnie. **— W razie czego powiem, że wiozę zagranicznych gości olimpijskich!**

— To już tutaj! — oznajmiam mu, kiedy droga zawija się obok czerwonożółtych hangarów. Ten pierwszy — to nasz. Tak charakterystyczne obiekty turystycznego pejzażu moskiewskiej Olimpiady. Wielkie stołówki pod impregnowanym brezentem, rozpiętym na metalowym rusztowaniu. Każda na kilkaset miejsc, a są ich dziesiątki. Nie dla wszystkich starczyło miejsc w restauracjach i kawiarniach. Może i dobrze, bo tu luz większy: samoobsługa — to raz, a dwa — posiłki wydawane są od siódmej rano do wpół do dwunastej w nocy.

Hangar podzielony na dwie części. W jednej — spore stoliki i plastykowe fotele. W drugiej — kuchnia. Podchodzisz do barierki, podajesz talon, dziewoja w białym fartuchu guzik naciska i gumową taśma transportera podsuwa ci tacę z kolacją czy obiadem. Naczynia i sztućce jednorazowego użytku. Estetyczne, chociaż wszyscy klną na łyżki, którymi nawiosłujesz się do upadłego, powietrza nałykasz, a i tak zupy nie wychłepezesz do końca. Żywność też porcjowana w jednorazowe opakowania. Wędliny — salami i serwolatka — produkcji fińskiej. Napisem **„Made in Finland"** opatrzonych jest również większość produktów, włącznie z masłem, a nawet musztardą, ketch-upem czy napojem żurawinowym.

Z jednorazówki wygoda ogromna: jeśli zawody wypadają w porze posiłku, można wziąć ze sobą suchy prowiant, który kuchnia pakuje w foliowe torby z olimpijskim Miszką. Torby zresztą też z napisem: **„Made in Finland"**.

W ogóle — widać to na każdym kroku — Finlandia zrobiła na Olimpiadzie niezły interes. Wiele fińskich firm reklamuje się wszem i wobec jako oficjalni dostawcy XXII Igrzysk Olimpijskich. Finów zresztą — turystów — tu sporo. Wielu też turystów przyjechało z innych krajów kapitalistycznych, włącznie z tymi, które oficjalnie zbojkotowały moskiewską Olimpiadę.

— Jednak ostatnie wypadki pomieszały wam trochę szyki! — mówię do Saszy Pochromowa, a on mnie doskonale rozumie: **— Tak, zagrywka Cartera odbiła się na wielu sprawach!** — Z zadumą poprawia tabliczkę ze zdjęciem, opadającą mu na piersi. Wszyscy uczestnicy i obsługa Olimpiady nosi takie tabliczki. Na wizytówce Saszy napis: **„guide"**, bo on — przewodnik i tłumacz. **— A czort z nimi!** — macha ręką. **— Dzięki temu i więcej waszych mogło przyjechać!** — cieszy się szczerze.

Faktycznie — naszych zatrzęsienie. W całej Moskwie rozbrzmiewa polska mowa i jaśnieją kapelutki **„Orbisu"**, **„Juventuru"** i **„Almaturu"**. Najwięcej Polaków „upchnięto" chyba w hotele: **„Ałtaj"**, **„Zarię"**, a zwłaszcza **„Wostok"**. Krzywdują więc sobie — jak to nasi — że pokoje czteroosobowe, bez telefonów i łazienek, a i do centrum pioruńsko daleko. Ale równocześnie — jak to naszym — humor i fantazja dopisują.

— Chłopcy, błagamy was, tylko nie strzelajcie w naszą stronę! — proszą dziewczęta z obsługi kuchennej. I uśmiechają się najpiękniej, jak tylko potrafią miłymi buziami, niepotrzebnie oszpeconymi przez komiczne białe zawoje na głowach. Pół-żartem, pół-serio obawiają się powtórzenia kanonady sprzed kilku dni. Polacy bowiem święcili szampanem 22 Lipca, „odstrzeliwując" nie jeden korek w stronę kuchni. Żarty żartami, ale w nie jednym olimpijskim hangarze z całym dostojeństwem i powagą przebiegała tego dnia spontaniczna manifestacja patriotyczna. Nie raz nasi rodacy śpiewali tego dnia: **— Jeszcze Polska nie zginęła!** Ze swoimi zaś serdecznymi życzeniami, a i kolejnym szampanem, przyłączali się gospodarze.

W parę dni później w innych okolicznościach, lecz z równym aplauzem spotkał się francuski hymn narodowy: Francuski judok — Parosi zdobywa złoty medal. Przy dźwiękach hymnu olimpijskiego wędruje w górę flaga z pięcioma kółkami. Francuz spogląda na nią ze smutkiem. Olimpijskie złoto nie cieszy go tak, jak cieszyłoby w normalnej, zdrowej atmosferze. Przebrzmiewają dźwięki orkiestry i ostatnie oklaski, a tu nagle gdzieś pod kopułą hali sportowej zachrypnięty męski głos zaczyna śpiewać **„Marsyliankę"**. Francuski turysta z kolorową flagą w dło-

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DO PRAGI Z PUSTĄ WALIZKĄ

Pół godziny przed odjazdem pociągu, z niewielką, pustawą walizką w ręce, stawił się na odpowiednim peronie, i kiedy nadjechał pospieszny Warszawa — Praga, podszedł z pełną szacunku postawą do konduktora wagonu sypialnego.

— *Pan ma bilet?* — zapytał tenże.

— Nie. Mam pół litra. Chciałem się zapytać, czy mógłbym je na chwilę wsadzić u pana do lodówki.

— *W takim razie, proszę uprzejmie poczekać na korytarzu* — rzekł konduktor, który wobec ludzi światowych umiał znaleźć się światowo.

W kilka minut później, po załatwieniu innych podróżnych, konduktor wyszedł ze swojej dyżurki z dwoma kieliszkami.

— *Proszę tutaj* — powiedział, otwierając pusty przedział sypialny drugiej klasy.

Polak, nie wyrażając zdziwienia, nie pytlując zbytecznie, że ochi wie pan, a na dworcu mi mówili przedwczoraj, iż brak już jakichkolwiek miejsc sypialnych, podążył za konduktorem z ufnością, i kiedy strzeliły za nimi drzwi, wyciągnął z walizki flaszkę żytniej. Wypili raz, drugi i trzeci, zakąsili przyniesioną przez konduktora pepsi colą, po czym konduktor wziął od niego bilet oraz, zgodnie z cennikiem, sto złotych za łóżko.

— *Dobranoc* — rzekł nie bez pewnego wzruszenia, jako że był przecież człowiekiem, i znacznie bardziej cenił sobie męską, przyjacielską popijawę od ordynarnej łapówki.

— Dobranoc — odrzekł równie wzruszony rodak.

Budzono go tylko raz, na granicy. Polski celnik nie mógł zrozumieć, w jakim celu ten zaspany, z lekka wionący alkoholem mężczyzna, pcha się gdzieś w pas konwencji bez nijakiego bagażu. Przetrząsnął więc pustawą walizkę z dodatkową starannością. Żeby chociaż karton Marlboro, spirytus albo modne ostatnio w Czechosłowacji „krówki", co to się ciągną między zębami, psia krew! i już facet byłby godny zaufania. A może nie jest znowu takim frajerem? Może by mu tak pojechać po kieszeniach, rozgarnąć pośladki? Eee, szlag z nim!

Wyszedł zdegustowany, niebawem pojawił się w przedziale jego czeski kolega.

— *Co pan wiezie?* — rozpoczął po polsku.

— A to! — oświadczył rodak deklarując palcem stojącą na blacie umywalki, niedopitą butelkę żyta.

— *Niewiele* — zaśmiał się Czech.

— Ano, niewiele — przytaknął Polak wybity trochę ze snu. I wstając, wyciągając z szafki szklankę, która przeznaczona jest raczej do celów prozaicznych (mycie zębów), wlał do niej na trzy palce. — Jak pan chce, zrobimy tak, żeby nie było nic.

Czech wystawił głowę na korytarz, rozejrzał się szybko w obydwie strony, po czym, z czarującym uśmiechem, przechylił gorzałę ze smakiem.

— *Dziękuję wam* — powiedział zapalając papierosa, żeby zneutralizować wszelkie niepotrzebne zapachy.

— I ja wam dziękuję — odpowiedział Polak, który także już zdążył wypić swoją dawkę, i teraz, otulony kocem, przymierzał się na powrót do snu.

Kiedy otworzył oczy, pociąg gnał już przedmieściami stolicy. Wstał, oporządził się w oka mgnieniu, i wypoczęty, zadowolony, pożegnawszy wprzódy wylewnie konduktora, zszedł na peron w przeświadczeniu, że czeka tam na niego znajomy.

Znajomego jednak nie zobaczył. Trudno — pomyślał. — Mogło mu coś wypaść. Nie da się również wykluczyć, że nie otrzymał w porę mojego telegramu. Tak, czy owak, mam adres i telefon...

Ruszył podziemnym tunelem do wyjścia, sylabizując czeskie napisy, z których raczej wynikało, że nie tędy droga do miasta, ale kiedy spytał się przechodnia którędy, tamten odpowiedział, że tędy.

W hallu dworca ponownie rozejrzał się za znajomym, a następnie zdecydował się działać, zobaczył bowiem obok siebie dwa aparaty telefoniczne: pierwszy, czeski, o nieznanym mu kształcie i konstrukcji oraz drugi, swojski, wyprodukowany najwyraźniej w Polsce, taki sam, jakich używa się w Warszawie i Łodzi do rozmów międzymiastowych. Na czeskim pisało, że aby uzyskać połączenie lokalne, należy wcisnąć do otworu pięćdziesiąt halerzy. Rodak nie posiadał halerzy, gdyż całą kwotę wypłacono mu w dwudziestokoronówkach, dogrzebał się przecież w kieszeni polskiej drobnicy. Jeśli korona równa się dwa złote, to nie będzie chyba przestępstwem wrzucić za pięćdziesiąt halerzy złotówkę — medytował z szalbierczą, słowiańską uczciwością nasz bohater. A że polski aparat złotówką nie wzgardzi, można było mieć kompletną pewność.

W momencie lokowania monety i wykręcania numeru, ktoś klepnął go w polecy.

Rodak spiął się wewnętrznie, ale nie podskoczył, wręcz przeciwnie: nadął się z niezwykłą godnością, żeby dać odpór śmiałkowi, okazało się jednak, że to znajomy.

— *Czekałem na ciebie przy wyjściu, jak Bóg przykazał, a ty wyszedłeś wejściem.*

Wsiedli w metro a potem w tramwaj, żeby zostawić walizkę w domu, i natychmiast poszli zwiedzać miasto, które znajomy, rezydujący w Pradze od kilku miesięcy, znał jak własną kieszeń.

Prawdę mówiąc — naczelnym pragnieniem rodaka było pokosztować morawskiego wina, myślał również intensywnie o pilznerze, znajomy jednak okazał się bezwzględny.

— *Pić będziemy wieczorami* — powiedział. — *Skoro już przyjechałeś, pokażę ci to i owo.*

Zwiedzili dokładnie Hradczany, zamek, katedrę świętego Wita oraz położoną w pobliżu Czarnej Wieży Złotą Uliczkę, która powstała w końcu XVI wieku — dawniej mieszkali tam w maleńkich, wpasowanych w mury obronne domkach strzelcy pałacowi, alchemicy i złotnicy, w początkach XX wieku jedną z kamieniczek zamieszkiwał pokłócony z ojcem Franz Kafka.

Następnego dnia pojechali na Wyszehrad położony na prawym brzegu Wełtawy. Owa twierdza powstała bodajże w IX wieku: jest tam wielki pałac książęcy, kościół świętego Piotra i Pawła, bazylika świętego Wawrzyńca oraz rotunda cmentarna świętego Marcina.

Most Karola, Plac Wacława, muzea, biblioteki — niczego rodakowi nie oszczędzono, musiał także obejrzeć synagogi, ratusz i stary cmentarz żydowski, który sprawia wstrząsające wrażenie. Podobno spoczywa tam, jedna na drugiej, czternaście warstw grobów; kiedy brakło miejsca, aby chować następne pokolenia, nawożono na cmentarz ziemię, przysypując stare pomniki. Wśród nich wyróżnia się nagrobek rabina Jehudy Löwa ben Becaleta, który zmarł w 1609 roku i uważany jest za twórcę legendarnego olbrzyma Golema.

Praga jest miastem miłym i przyjaznym, o czym najlepiej można się przekonać wieczorami w piwiarni, winiarni lub knajpie. Popijali zatem Polacy ciemne piwo u Hawelki i u Fleka, a na wino chodzili do małego baru w pobliżu Placu Wacława, gdzie zbierają się dziennikarze. Jeden z nich, młody, sympatyczny facet, pokazał Polakom kilka czeskich znakomitości, wśród których znajdował się także pewien siwy, pięćdziesięcioparoletni korektor.

Sklepy nie interesowały Polaków zupełnie, aczkolwiek doceniali estetykę wystaw.

Metro, to już doprawdy szczyt komfortu — stal i szlachetny marmur, rzęsiste oświetlenie, jednym słowem: cacko mogące rywalizować z metrem moskiewskim.

— *Nieźle sobie nasi południowi bracia żyją* — powiedział znajomy.

— Ano, nieźle.

— *Chyba są od nas trochę bardziej obowiązkowi.*

— Może i tak.

— *Kiedy piją to piją, ale jak trzeba pracować, nikt się nie miga.*

— U nas też jest cała masa takich, co się nie migają. Nie wszystko można zwalić na miganie.

— *I na pijaństwo.*

— Właśnie. Czesi popijają nie mniej.

— *Powiedziałbym nawet więcej. W każdym razie, jeśli chodzi o wino i piwo.*

Poszli na obiad do Związku Pisarzy, poplotkowali trochę z kelnerem, który mimo wczesnej pory podawał w smokingu i mimo młodego wieku zachowywał się z wielką godnością. Widać było, że lubi swój zawód i że jest człowiekiem zadowolonym z życia. Suty obiad z napiwkiem kosztował ich czterdzieści koron.

Jak to się dzieje, że Czesi mają takie dobre wino: białe, czerwone, słodkie, wytrawne. Jak to się dzieje, do diabła, że nas, Polaków, nie stać na jeden przynajmniej gatunek prawdziwego wina. Sklepy zastawione są alkoholizowanymi jabcokami: „Czar pegeeru", „Uśmiech sołtysa".

— Będę tu jeszcze kiedys musiał przyjechać — powiedział rodak. — Samochodem, z żoną i dzieckiem.

— *Ja też mam taki zamiar* — powiedział znajomy.

— No, ty na razie to jeszcze nie wróciłeś i nie wracasz. A ja, niestety, muszę już iść na dworzec.

— *Nieodwołalnie?*

— Nieodwołalnie.

— *No to odprowadzę cię* — powiedział znajomy.

Sliping załatwił w ten sam sposób, co poprzednio. Wypił piwo i położył się spać, otwierając przedtem walizkę, żeby ułatwić sprawę celnikom. Nad ranem, kiedy otworzył oczy, pociąg tłukł się już przedmieściami Łodzi. Z dworca do domu szedł pieszo. Doprawdy, nie miał wrażenia, że wyjeżdżał gdziekolwiek za granicę.

MOSKIEWSKIE SPOTKANIA

niach śpiewa z przejęciem, z całych sił. Przyłączają się do niego kolejne głosy: tu i ówdzie są na widowni jego rodacy. I chór ten — nieskładny i słaby — ucisza, rozemocjonowaną salę. Śpiewają Francuzi — zwrotka po zwrotce — do końca i burza oklasków. I Parisi łzy ociera. Ba, wielu widzów chusteczki do oczu podnosi. Wzruszony też wyraźnie jest lord Killanin, który tu akurat dekorował sportowców.

— **Próbowano zaszkodzić, podważyć tradycję olimpijską, olimpijskie idee sportowej walki, ale nie udało się. Nic z tego nie wyszło!** — stwierdzą poirytowany Władimir Aptekariew, lejtenant moskiewskiej milicji. Bohater mojego reportażu sprzed kilku lat, a od tego czasu serdeczny, wypróbowany przyjaciel. Wołodia teraz też w służbie olimpijskiej. Ważny szef ważnego odcinka.

— **Byle przetrzymać do trzeciego sierpnia** — stwierdzają ci, na których spoczywa odpowiedzialność za organizację Olimpiady. Tak też pewnie myślą i ci, którzy odpowiadają za jej porządek i bezpieczeństwo.

Dzień po dniu przywykam do obecności służb porządkowych, z czerwonymi opaskami na ramionach. Kierują oni ruchem pieszym i kołowym, czuwają na porządkiem i bezpieczeństwem uczestników Olimpiady. W sposób stanowczy, lecz taktowny. Na każdym kroku odczuwa się ogromne zdyscyplinowanie i znakomite wyszkolenie, wspomagane nowoczesną techniką. Techniką, pod której znakiem przebiega cała zresztą moskiewska Olimpiada, zadziwiając rozmachem i nowatorstwem nawet wybrednych bywalców.

Każdy może się czuć w olimpijskiej Moskwie absolutnie bezpiecznym. Nawet późno-nocny spacer po ciemnych zaułkach, czy rozległych parkach można podjąć bez obaw. Gościowi olimpijskiemu włos z głowy spaść nie może, a przecież — pamiętamy — na poprzednich różnie bywało.

Dwóch milicjantów, wartujących u nabrzeża rzeki Moskwy, dyskretnie salutuje. Znają pewnie lejtenanta Aptekariewa, który prowadzi mnie drewnianymi schodami na pokład **„Buriewiestnika"**. Wysłużony statek spacerowy na stałe przycumowany do brzegu, pełni rolę ekskluzywnej restauracji. Wołodia ledwie pół godziny temu dowiedział się, że jestem w Moskwie, a zdążył — zgodnie z wieloletnią tradycją — zaaranżować powitalną kolację.

Przy sąsiednim stoliku — Anglicy. Zachwyceni niepowtarzalną atmosferą lokalu, któremu ton nadaje wspaniały zespół cygańskich śpiewaków, muzyków i tancerzy. Nagle muzyka ucicha. Cyganki i Cyganie poszeptują między sobą, a miny niewyraźne, posępne.

— **Wiecie, co się stało?** — informuje nas, w chwile później kelner Ilja — **Kilka minut po szóstej zmarł Władimir Wysocki. Pomyśleć, czterdzieści dwa lata!** — Ilja zmarkotniał, przygarbił się, spędził uśmiech ze swej przystojnej i inteligentnej twarzy. Tak, i nad naszym stolikiem powiało nostalgią. Jakby ktoś bliski odszedł. W pół zdania, którego nie dopowie już nigdy do końca.

— Iljusza, może wybierzesz się jutro na siatkówkę, mam w tym samym czasie lekką atletykę — próbuję rozchmurzyć naszego „gospodarza" własnym biletem. Kulą w płot.

Na biletową giełdę trafiam przypadkiem, chociaż nie sposób tam nie być bo giełda na ulubionym „deptaku" Moskwy — prospekcie Kalinina.

Na wysokości kawiarni **„Pieczora"** i salonu fryzjerskiego **„Czarodziejka"** mrowi się tłum przepotężny, a ruchliwy — wymiana i handel trwają nieprzerwanie. Cudzoziemcy mają jednak kłopoty ze zbyciem zbędnych biletów. — **Idź się wypchaj!** — słyszy nie jeden z nich. — **To dla nas za drogo. My mamy bilety ze zniżką.**

Znamienne: za kilka dni w ciągu paru minut jestem kilkanaście razy atakowany pytaniem: — **Czy nie ma pan biletu do odstąpienia?** — Tyle że pytanie to powtarzane jest u wejścia do Teatru im. Wachtangowa na starym Arbacie. Tuż przed rozpoczęciem „Ryszarda III". — **No, może się pan skusi? Dam trzy. Powiedzmy, cztery razy więcej!** — atakuje mnie szczególnie natarczywy brunet kręcący się jak rozsierdzony bąk w podcieniach. Mityguje się jednak w pewnym momencie: — **Pardon, pan jest gościem olimpijskim, prawda?**

Ano prawda. Wczułem się szybko w tę rolę, bo jest ona wygodna. Gość olimpijski — święta krowa, przed którą wszyscy schodzą z drogi, starając się przy tym nie okazać niechęci i irytacji.

Pierwszego dnia mówię jeszcze wszędzie po rosyjsku. Rezultat opłakany, ledwie ściągam wieczorem do hotelu. Na postoju taksówek obok stacji metra **„Szczerbakowska"** kilka taksówek. Świecą zielonymi ślepkami, a więc wolne. Akurat! Ta do bazy już jedzie, inna — w całkiem odmiennym zbiera się kierunku, kierowca wreszcie kolejnej międzynarodowym gestem — z którego tłumaczył się później telewizdom nasz Władysław Kozakiewicz — manifestuje pogardę dla mojej propozycji. Olimpiada Olimpiada, a z taksówkami wieczorem to samo utrapienie.

— **Tylko błagam, niech pan nie zapomina rżnąć olimpijczyka!** — prosi mnie następnego wieczoru portier z hotelu „Warszawa" wezwawszy telefonicznie taksówkę. Nauczyłem się grać olimpijczyka.

Chwyt podstawowy: stoi taksówka. Wolna czy zajęta — nieistotne, byle bez pasażerów. Wsiada się, podaje kierowcy adres w jakimkolwiek — byle nie rosyjskim — języku. A dalej on sam się martwi.

— **Pan nie pierwszy raz w Moskwie?** — zagaduje mnie w dniu wyjazdu taksówkarz, którego pojazdem „zawładnąłem" za pomocą chwytu podstawowego.

Iwan Iwanowicz Antonow — nr 9555 z bazy nr 9 — ma jednak wyraźną chęć do rozmowy. Ba, manifestuje swą sympatię dla cudzoziemców, zwłaszcza z „socstran" czyli „ksów". Postać to — okazuje się — popularna. Koledzy pasażerowie zwą go **„Diedulą"**, pewnie dla jego dobroduszności i sumiastych wąsów.

— **Jakie zna pan języki obce?** — pytam z głupia frant, a Iwan Iwanowicz nie traci rezonu: — **Dwa! Rosyjski i macierzysty!** — Śmiejemy się obaj, chociaż kto wie, może i on na olimpijskie kursy chadzał. Według oficjalnych informacji pięć tysięcy — na trzydzieści — moskiewskich taksówkarzy ukończyło kursy językowe. Nie miałem raczej do nich szczęścia, aczkolwiek przyznać muszę, że kilku kierowców z lubością przetykało rozmowę słówkami w rodzaju „okiej".

Wszędzie powtarza się emblemat olimpijski, zaprojektowany przez Władimira Arsientjewa. Są kółka i flagi olimpijskie. Jest wreszcie precyzyjny i logiczny system informacyjny oparty na piktogramach Nikołaja Biełkowa. W plastycznym wystroju miasta nie ma jednak przesady. Jest on nader skromny, w zestawieniu — powiedzmy — dekoracjami na 1 maja lub 7 listopada. Charakterystyczne też, że miasto pozbawiono na czas Olimpiady tak typowych dla jego ulic politycznych i ideologicznych akcentów propagandowych. Nie ma wielkich plansz, nie ma transparentów z politycznymi hasłami. Jest to pewnie jeszcze jeden gest ze strony gospodarzy pod adresem gości olimpijskich. Nie pierwszy i nie ostatni gest dobrej woli poszanowania i tolerancji dla cudzych przekonań.

Najlepiej przygotowana Olimpiada — przyznają to gospodarzom nawet niechętni im komentatorzy zachodnich gazet. Ogromny trud, mrówcza praca, zbiorowy wysiłek. Nic zatem dziwnego, że tu i ówdzie widać wyraźne oznaki zmęczenia.

— Zmęczony jest pan Olimpiadą? — pytam Iwana Iwanowicza. — **Nie, raczej nie, chociaż wszyscy pewnie odczuwamy coś w rodzaju psychicznego przeciążenia, nadmiernego napięcia. Wszystkim nam przecież tak zależało, żeby Olimpiada wypadła jak najlepiej.** — Fakt — przyznaję — widać to na każdym kroku. Na ulicach, w metrze, restauracjach, sklepach.

— **Pan, jak widzę, zadowolony, że do nas przyjechał?** — ożywia się Iwan Antonow. — Oczywiście pewnie do końca życia bym żałował że nie byłem w Moskwie na Olimpiadzie.

— **Ano właśnie!** — przytakuje taksówkarz.

I uśmiechamy się znów obaj. Ze smętkiem jednak, bo Olimpiada już się kończy. Tak zresztą, jak smętnie będą się uśmiechać wszyscy, kiedy przeuroczy Miszka olimpijski w dniu zamknięcia igrzysk łzę uroni na łużnickim stadionie...

JACEK INDELAK

Foto: Zb. W. Nowak

PEŁNA SZAFA DŹWIĘKÓW

Rozmowa z reżyserem Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia — ROMANĄ MATER

Foto: R. Łucyszyn

— O jakim zawodzie dla siebie marzyła pani w młodości?

— Zaskoczę panią, chciałam pracować w radiu.

— Tak od razu? Nie miała pani innych marzeń?

— Zaraz po wojnie ludzie bardzo fascynowali się radiem. Podczas wojny słuchanie radia było zabronione. Groziła za to surowa kara. Więc po wojnie ludzie odrabiali zaległości. Wtedy szeroko była rozwinięta sieć radiofonii przewodowej. W domach instalowano głośniki, które nazywano „kołchoźnikami". I ludzie słuchali wszystkiego, co tylko było można, co ich interesowało.

A na dodatek jeszcze moja ciotka pracowała w radiu i to mnie szalenie intrygowało. Chciałam więc zostać spikerką.

— I została pani?

— Nie. Najpierw dowiedziałam się, że radio w Łodzi szuka dzieci i młodzieży do słuchowisk radiowych. Poszłam na przesłuchanie. Pierwszym człowiekiem, którego spotkałam, był Tadeusz Markowski, znakomity reżyser radiowy. On mnie przesłuchał i kazał przyjść później. Nadałam się do radia, ale do audycji dziecięcych. Okazało się, że mam głos pięcioletniej dziewczynki i nic nie będzie z marzeń o karierze spikerki. Zaczęłam więc brać udział w audycjach dla dzieci. Aż pewnego dnia, a byłam już w klasie maturalnej, zaproponowano mi pracę w administracji radiowej. To był rok 1950. Brakowało ludzi. A ja już byłam maturzystką i stale kręciłam się po rozgłośni.

— I zaczęła pani pracować w administracji.

— Znów panią zaskoczę. Nic z tego nie wyszło.

— Nie przyjęli pani?

— Przyjęli, tylko do innej pracy. Jak się dowiedzieli, że robię maturę, wybieram się na studia, to powiedzieli, że szkoda mnie do administracji i zaproponowali pracę w redakcji dziecięcej.

— Była pani pewnie bardzo szczęśliwa z tego powodu?

— Pewnie. Przeniosłam się do szkoły wieczorowej, no bo przecież już byłam pracująca. Z tą szkołą były ciągle jakieś kłopoty, bo w radiu było pracy bez liku. Ale zrobiłam maturę i poszłam na polonistykę.

— Czy praca w radiu spełniała pani marzenia? Tak pani ją sobie wyobrażała?

— Czy tak sobie wyobrażałam? Trudno powiedzieć. Na początku byłam „do wszystkiego". Idź, zrób, przynieś, wynieś, zadzwoń. Ale miałam jedną wielką zaletę. Umiałam pisać na maszynie. Długo miejsca w redakcji dziecięcej nie zagrzałam. Byłam w technicznym sekretarką, a później przenieśli mnie do redakcji literackiej. A tutaj robiłam już wszystko, co było trzeba. Jakieś reportaże, koncerty życzeń dla fabryk, różne sprawozdania. Jak nie było kogo posłać, to się mówiło: — Ta mała to zrobi. I mała robiła.

— Kiedy zainteresowała się pani reżyserowaniem?

— Jak już wspomniałam, na samym początku spotkałam Tadeusza Markowskiego. Brałam udział w wielu audycjach reżyserowanych przez niego. Bardzo mnie to zainteresowało. Teraz, kiedy już pracowałam w radiu, zaczęłam przyglądać się temu, co i jak on robił. Zaczęłam, tak po cichu, mu asystować. I tak to się zaczęło.

Dziś, proszę pani, to reżyserów kształci się na studiach. Ale wtedy było to kształcenie typowo rzemieślnicze. Był mistrz. A Tadeusz Markowski był znakomitym mistrzem. I był czeladnik. Ja byłam takim czeladnikiem.

Skończyłam studia i zaproponowano mi stanowisko reżysera.

— Po ilu latach pracy w radiu?

— To był rok 1955, a więc po pięciu latach.

— Jak się pani czuła w nowej roli?

— To było strasznie trudne. Przede wszystkim do tej pory to mnie poprawiano, mnie mówiono, czego ode mnie chcą, co jak mam zrobić, powiedzieć. Teraz role zmieniły się. Teraz ja miałam to robić. Czasami bałam się poprawić wykonawcę. Powstało masę nowych problemów, których musiałam nauczyć się rozwiązywać. Na przykład, czego chcieć od przygotowujących oprawę muzyczną? Jak dobrać muzykę? Jak dogadać się z technikami?

— Jakoś sobie pani z tym poradziła.

— Pewnie. Przez tyle lat.

— Czy trudno być reżyserem radiowym? Chodzi mi już nie o te kłopoty, z jakimi pani spotykała się na początku, ale o problemy merytoryczne, artystyczne.

— Reżyseria radiowa ma swoją specyfikę. To oczywiste. Każdy o tym wie. Na czym polega ta specyfika? Na tym, że w radiu wszystko trzeba wyrazić dźwiękiem. Na scenie aktor może posłużyć się gestem. Na ekranie — mimiką w zbliżeniu. Tu i tam akcja rozgrywa się w określonej scenerii. W radiu jest tylko głos i osobowość aktora. I z tego trzeba zrobić słuchowisko.

— Musi też pani mieć koncepcję tego, co chce zaproponować słuchaczom.

— To oczywiste. Jest przecież tekst słuchowiska. Praca nad tekstem trwa nieraz bardzo długo.

— Czy zawsze udaje się pani zrealizować na antenie to, co pani sobie uprzednio założyła?

— Nie. Bywa tak, że aktorzy, którzy też dostali tekst i pomyśleli nad nim, wybrali inną koncepcję. Lepszą. Wtedy rezygnuję ze swojej, wszystko przewracam do góry nogami i zaczynam robić wedle ich pomysłu.

— Ale bywa też, że pani koncepcja była lepsza.

— Bywa. Wtedy nie ustępuje. Czasem jednak idziemy na kompromis.

— Czy wykonawcy boją się pani?

— A dlaczego mieliby się bać?

— Jest przecież pani tym, kto kieruje, wymaga, narzuca swoją wolę.

— Jeśli nawet tak postępuję, to robię to w ich interesie. Bywa tak, że młodzi wykonawcy lub autorzy na początku boją się mnie. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego. Bo jak się bliżej poznamy, to nawet przyjaźnimy się.

Reżyser radiowy robi nie tylko słuchowiska, montaże poetyckie, robi też wiele audycji zupełnie anonimowo. Wtedy nic nie zapisuje się na moje konto, a jedynie na konto autora. I jeśli lepiej wydobywam myśl, jaką zawarł w tekście, jeśli, przez taką czy inną interpretację, myśl ta dociera do słuchacza, to jest przecież w interesie autora.

Wie pani, czasami czuję się opiekunką i niańką autorów i wykonawców. Wprowadzam ich na trudne drogi radiowej pracy.

— Jakie predyspozycje musi mieć reżyser radiowy?

— Można byłoby odpowiedzieć: musi myśleć dźwiękiem. Ale jest to bardziej złożone. Trzeba bowiem w każdym przypadku inaczej postępować. Wszystko zależy od interpretacji tekstu. Zdarzyło mi się kilka razy, że autorzy po wysłuchaniu swojej audycji powiedzieli, iż nie myśleli, że napisali coś tak fajnego. Była to dla mnie najwyższa pochwała.

— Bardzo często mówi się, że radiowy teatr, to teatr wyobraźni. Czy pani zgadza się z takim określeniem?

— Nie odpowiem wprost na to pytanie. A zaraz uzasadnię dlaczego. Radio nadaje różne audycje. Na przykład słuchacze powieści radiowej „Matysiakowie" przysyłali niegdyś listy z planem mieszkania państwa Matysiaków. Tak to sobie dokładnie wyobrażali. I to jest w porządku. Ale są audycje, w których nie można przekładać obrazu na dźwięk, bo to jest daremne. Nie o to chodzi. Miałam kiedyś takie słuchowisko, w którym dziewczyna chwytem judo obalała chłopca na ziemię. Jak to zrobić? Nosiłam się z tą sceną przed kilkanaście dni. I któregoś dnia, w tramwaju, czy w kolejce do sklepu, wpadł mi taki pomysł. Miałam gdzieś nagrany wrzask spłoszonych kur. Przeniosłam więc tę scenę na podwórko. Najpierw był krzyk dziewczyny, później chłopca, a później spłoszonych kur. Wszystko było jasne.

— Dużo ma pani takich nagrań?

— Dużo. Mam pełną szafę nagranych dźwięków, które mi się kiedyś mogą przydać. I przydają się.

— A co pani lubi najlepiej reżyserować?

— Audycje poetyckie. Bardzo lubię poezję w radiu. Lubię audycje kameralne.

Wracając jeszcze do spraw wyobraźni, dla mnie ważny jest nastrój. I staram się go budować. Uważam, że w słuchowisku trzeba myśleć nie o tym, jak przekazać słuchaczowi, co się dzieje na planie, ale co przeżywają bohaterzy. To jest najważniejsze.

— Jakie swoje audycje pani ceni najbardziej?

— Powinnam powiedzieć, że słuchowisko poetyckie „Beatrycze" według montażu poetyckiego Mirosława Kuźniaka, bo dostałam za to pierwszą nagrodę na przeglądzie słuchowisk rozgłośni regionalnych. I cenię je. Ale mam też duży sentyment do innych audycji ,nawet krytykowanych, nigdzie nie nagrodzonych, w których udało mi się właściwie przekazać, myśl autora, a niekiedy nawet jemu uświadomić, co napisał.

— Czy pani też zauważyła, że ostatnio bardzo zmieniło się radio? Czy nie sądzi pani, że stało się to pod wpływem telewizji?

— Oczywiście. Ale nie dlatego, jak to powszechnie się sądzi, że telewizja stała się konkurencją dla radia. Nie wiem, czy pani zwróciła uwagę, że teraz inaczej mówi się w radiu. Nawet w teatrze dziś inaczej się mówi. Już się nie deklamuje. I to jest zasługa telewizji. Telewizja po prostu pokazała ludzi, którzy nie czytają tekstu, nie deklamują tego, czego się nauczyli na pamięć, ale przed kamerą na gorąco, na żywo formułują swoje myśli. I to zmusiło do innego mówienia w radiu.

Zresztą my w radiu też wracamy do robienia audycji na żywo, wracamy do tego, cośmy kiedyś odrzucili. Nie wszędzie to będzie możliwe, wszak trzeba należycie wykorzystywać całą posiadaną technikę, na przykład w słuchowiskach, audycjach poetyckich, technikę dającą takie możliwości operowania dźwiękiem, jakich nie uzyska się w audycji robionej na żywo.

— W radiu jesteście w lepszej sytuacji, gdyż macie Biuro Studiów i Listów, które odpowiada wam na pytanie: kto was słucha.

— Nie do końca. Często też mamy wrażenie, że mówimy w próżnię. Ludzie na ogół piszą do nas lub telefonują, kiedy się zdenerwują lub coś ich poruszy. Jak im się podoba, to po prostu akceptują. Czasem nawet po roku, przypadkowo, dowiaduję się, że jakaś audycja komuś się podobała.

Raz nawet przeżyłam wielki szok, bo zetknęłam się bezpośrednio z moimi słuchaczami. Czekałam na pociąg w Koluszkach. Z głośnika nagle popłynął mój głos. Czytałam wstęp do swojej audycji. Przeraziłam się. Rozejrzałam się po poczekalni. Kilka osób słuchało. Było mi głupio, bo sądziłam, że oni wiedzą, że to ja. Ciężkie to było przeżycie.

Kto nas słucha? Popularna jest audycja „Sygnały dnia". Ale ludziom starszym ona nie odpowiada. Nie nadążają za szybkością podawanych informacji. Popularne jest „Lato z radiem", ale nie wśród miłośników muzyki poważnej. Czasem dowiadujemy się z materiałów radiowych, że jakiegoś słuchowiska słuchało 600 osób. Mało to, czy dużo? A jeśli na małej sali teatr gra dla 100 osób?

Przy czterech programach można wybrać sobie to, co kogo interesuje.

— Trzeba się jednak tego nauczyć. Nad czym pani teraz pracuje?

— Nad słuchowiskiem poetyckim, znów według montażu tekstów Mirosława Kuźniaka. Nosi to tytuł „Kręgi".

— Życzę więc pani dalszych sukcesów w pracy, która jest pani życiową pasją.

— Dziękuję.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Ta jesień miała w sobie coś podniosłego. Platany jak zwykle pożółkły na dziedzińcu liceum, klonowe zarośla oblokły się krwawą czerwienią, podwórze ożyło, zapełniło się wrzawą młodych głosów, lecz łagodne światło tej pory było jakby odmienione. Padało na przedmioty z osobliwym drżeniem, zda się rozniecającym pożar. Wrażenie to potęgowała zapewne obecność złocistej smugi, do której ludzie nie potrafili się przyzwyczaić. Tym mianem nazwano linię, która przed kilku tygodniami zjawiła się na niebie i pozostała na nim jak osobliwy element dekoracyjny. Prasa szeroko komentowała to zjawisko, zamieszczała artykuły i wypowiedzi uczonych, snujących rozmaite hipotezy na temat jego powstania; dało to początek polemikom, fantastycznym domysłom i nawet dowcipom rysunkowym.

Wyjaśnienia były niezadowalające ponieważ, jak stwierdzili specjaliści, „złocista smuga" powstała na skutek czegoś, co zdarzyło się niezmiernie daleko przed — co najmniej — jedenastu laty. Wobec braku dokładniejszych danych równie szybko można było tworzyć i obalać teoretyczne konstrukcje. Otwarło się raptem pole ogromne dla rozmaitych przypuszczeń i — mimo protestów przedstawicieli nauki — na łamach gazet pojawiły się mętne rozważania astrologów, teozofów i kabalistów.

Profesor Rocus, zgodnie ze swoim zwyczajem przeglądając gazetę w drodze do liceum, zatrzymał się właśnie na takim artykule. Autor jego utrzymywał, że „złocista smuga" świadczy o cudownej konjunkcji ciał niebieskich, jaka w przeszłości zdarzyła się tylko raz, wtedy mianowicie, gdy rzekomo wyłoniła się z wody legendarna Atlantyda, i że wszystkie dzieci urodzone przed jedenastu laty doświadczą niezwykłych skutków. „To znaczy akurat nowy rocznik — obliczył szybko Rocus — Te same głupstwa, o których marzy pan Maximilian — myślał dalej nie bez sarkazmu. — Tak, tak, pokażę mu je przy pierwszej okazji, zobaczymy, jaką zrobi minę". Spór, do którego nawiązywał w duchu, wywodził się z jego bardzo dawnych, upartych przekonań. Rocus od dwudziestu ośmiu lat naucza matematyki w niższych klasach tego samego, starego kolegium. Niepostrzeżenie przybrał wygląd typowego belfra, który żyje tylko dla swoich uczniów w martwym świecie abstrakcyjnych znaków i cyfr. Wyłysiał zupełnie i coraz bardziej upodabniał się do sławnego profesora Nimbusa. Paznokcie miał zawsze białe od kredy, której liczne ślady nosił również jego czarny surdut o zbyt długich połach i wyświeconych łokciach. Okulary ciągle spadały mu na czubek nosa, jakby i one chciały dostosować się do karykaturalnego wzoru.

Rocus przemierzył trawnik przed kolegium odpowiadając z roztargnieniem na śpieszne uchylanie czapek, wszedł na schody, minął główny hol i długi korytarz, wreszcie otworzył drzwi pokoju nauczycielskiego. Nie było w nim nikogo. Rocus wyjął zegarek, sprawdził czas, stwierdził, że przyszedł za wcześnie, podpisał więc listę obecności, usadowił się w fotelu przy oknie, położył na kolanach dziennik klasy I a i wyjął gazetę rad, że może spokojnie dokończyć lektury.

Kiedy w dwadzieścia minut później spotkał się z nowymi uczniami najpierw z ciekawością przesunął wzrok po twarzach, które, ze swej strony, badały go uważnie. Podniosłe światło tej dziwnej jesieni nadawało dziecinnym oczom blask niezmiernie żywy, zacierając wszakże rysy, rozmazując je niejako w delikatnym, złocistym drżeniu.

Rocus przeczytał listę, starając się zapamiętać jak najwięcej nazwisk i fizjonomii. Podszedł następnie do tablicy i zaczął wykład. Miał zwyczaj oswajać najpierw uczniów z podstawowymi pojęciami, mówił o przystawaniu, przesunięciu i obrocie figur geometrycznych. Przywiązywał dużą wagę do tej swojej innowacji dydaktycznej. We wszystkich zresztą klasach przekraczał nieco program aby niepostrzeżenie wpoić uczniom ducha współczesnej matematyki.

— *Chciałbym, aby stopniowo powzięli przekonanie* — wyjaśniał — *iż to, czego dowiedzą się ode mnie, jest zaledwie cząstkowym, uproszczonym widzeniem nieskończenie rozleglejszej całości. Żeby, na przykład, nie utknęli w geometrii euklideso-*

OVID CROHMALNICEANU

Pierwsza lekcja geometrii

wej — dorzucał z coraz większym zapałem — nawet jeśli na razie muszą się do niej ograniczyć. Skoro nie możemy im dać pola do popisu, nie krępujmy przynajmniej ich możliwości poznawczych.

Argumenty te, o czym sam tylko wiedział, miały służyć na poparcie innej jego tezy, o której nie mówił z nikim prócz Maximiliana, lecz on nie był pedagogiem a tylko przyjacielem Rocusa. Gdyby przy tym nie obstawał przy swoich dziwacznych twierdzeniach — myślał nieraz Rocus — może w ogóle nie połączyłaby ich przyjaźń. Maximilian pochłaniał powieści fantastycznonaukowe i stale o nich rozprawiał. Podczas pierwszego spotkania z Rocusem doprowadził go do pasji rozmową o mutantach.

— *Ależ to bzdura wierutna!* — wybuchnął profesor nie podzielając przekonania o nieuchronnym skoku biologicznym rodzaju ludzkiego — *Jakże mam sobie wyobrazić, że pewnego pięknego dnia możliwości naszych mózgów zwiększą się nagle do tego stopnia, że będą one mogły wykonywać w mgnieniu oka najtrudniejsze obliczenia, co niegdyś wymagało mozolnego wdrażania ich w arkana matematyki. To są literackie fantasmagorie, mój panie, albo raczej — mrzonki ignorantów.*

Rocus dobitnie wypowiedział ostatnie słowa by zaznaczyć głęboką pogardę dla ludzi tego pokroju. Wszakże ta riposta bynajmniej nie zbiła z tropu jego młodego rozmówcy. Cierpliwie przytaczał mnóstwo rzeczowych argumentów, powołał się na fakt, że ludzie wykorzystują obecnie tylko znikomą część potencjału mózgu, cytował różne autorytety naukowe, pytał Rocusa, czym tłumaczy zjawisko telepatii, jasnowidzenia lub też niezwykłej pamięci. Takie było źródło niekończącego się sporu, który od trzech lat wiedli ze sobą, sporu, który zapoczątkował ich przyjaźń. Maximilian nie przypuszczał, że bezwiednie dotknął skrytej rany starego profesora matematyki.

Rocus bowiem podczas studiów uchodził za nadzieję nauki. W pracy doktorskiej zajął się sławnym problemem typologii, zjawiskiem czterech barw. Nie przeprowadził wprawdzie dowodu, że wystarczają one do tego, aby na jakiejkolwiek mapie oznaczyć innym kolorem sąsiadujące ze sobą krainy, ale był bliski wyjaśnienia tej osobliwej właściwości. Badania jego zmierzały nie tyle do uproszczenia problemu, ile do jego rozszerzenia. Rocus rozpatrywał coraz inne powierzchnie, bardziej nieregularne niż płaszczyzna lub kula, i nad podziw łatwo przeprowadzał na nich analogiczny wywód z wynikiem w pełni zadowalającym. Praca jego, uzupełniona dwoma późniejszymi przyczynkami, wzbudziła sensację. Zdawało się, że nierozwiązywalny dotąd problem bliski jest wyjaśnienia i to w sposób zgoła nieoczekiwany, zaskakujący, albowiem Rocus nie podążał od zjawisk skomplikowanych do prostych, lecz przeciwnie. Jednakże, ku powszechnemu zdziwieniu, młody matematyk, przejawiający rzadko spotykany talent, szybko zniknął z pola widzenia kół naukowych. Nazwisko jego nie pojawiło się więcej w specjalistycznych wydawnictwach, nikt go też nie ujrzał na żadnym kongresie. Pogodziwszy się z losem zwykłego nauczyciela w liceum, Rocus pogrążył się w oceanie anonimatu.

Maximilian znał tylko jedną jego nieszkodliwą manię. Stary profesor przechowywał u siebie w wielkiej tajemnicy osobliwe dane statystyczne. Uporczywie śledził — wedle własnych kryteriów — jak rozwija się przeciętna inteligencja matematyczna jego małych uczniów. Wszystko zostało dokładnie zarejestrowane na niezliczonych tablicach systemem szczegółowych zapisów i przetworzone na wielobarwne wykresy. Rezultaty wszakże nie były zbyt przekonujące; gdzieniegdzie pojawiały się oznaki wzrostu, skromne jednak i niepewne. Rocus gorączkowo śledził pulsowanie krzywej, podkreślał je z pasją i analizował. Dlatego tak go poruszyła rozmowa o mutantach. Jednakże Maximilian obejrzawy wykresy Rocusa na papierze milimetrowym nie ukrywał swego rozczarowania.

— *Takie niemrawe, powolne błądzenie po omacku nie ma nic wspólnego z owym skokiem* — mruknął — i stary spór rozgorzał na nowo. Maximilian nie rozumiał, czemu Rocus wiązał tyle nadziei z nieznacznymi, ledwo dostrzegalnymi oznakami postępu: ze zdolnością abstrakcyjnego myślenia, pamięcią o wielorakich możliwościach, łatwością przedstawiania sytuacji krańcowych.

Za tym wszystkim krył się jednak dawny uraz starego nauczyciela. Nikt prócz niego nie wiedział, że na porzucenie pracy naukowej zdecydował się po dotkliwej porażce, którą zniósł spokojnie, lecz z którą nie pogodził się nawet teraz, po dwudziestu ośmiu latach. Kiedy już niewiele brakowało, aby rozwiązał zagadkę czterech barw, nagle otworzyła się przed nim pustka. Umysł odmówił posłuszeństwa, nie posunął się dalej w dociekaniach, jakie sam sobie założył, komplikując ciągle możliwe sytuacje. Poczuł z całą pewnością, że wystarczyłaby jeszcze odrobina energii do osiągnięcia celu, jednakże władze jego mózgu zdradzały zupełne wyczerpanie. Wielokrotnie, z zaciekłym uporem powtarzał to doświadczenie, lecz nigdy nie zdołał przekroczyć progu, na którym się potknął. Było to tak, jakby bardzo ostrożnie zbudował domek z kart i miał położyć ostatnią na kruchej budowli. Ale ten ruch, na pozór nie wymagający szczególnego wysiłku, okazał się ponad siły. Konstrukcja, wzniesiona z takim trudem, nie była stabilna, zaczynała się chwiać, traciła niestałą równowagę, rozsypywała się całkowicie. Rocus nieodmiennie stwierdzał, że umysł jego staje się bezsilny, że dociekania zawisły w próżni. Było to uczucie tak upokarzające, że po wielu nieudanych próbach poprzysiągł sobie nie podejmować ich nigdy, za żadną cenę. Ilekroć wspominał o tym, nawet teraz, po tylu latach, rysując na tablicy dwa równe sobie trójkąty równoramienne o równoległych bokach i wskazując linią kropkowaną jak mogłyby nałożyć się na siebie, czuł, że odzywa się w nim znowu głuchy, gorzki bunt.

Postanowił wprawdzie ponieść wszystkie skutki swej porażki; bezlitośnie stłumił w sobie wszelkie aspiracje do własnych badań naukowych i zadowolił się zwykłą, sumienną pracą nauczycielską. Ale zachował jedno skryte pragnienie: by powoli, uparcie, z niezmierną cierpliwością przygotować chwilę odwetu. Może ktoś, kto zawczasu lepiej wyćwiczy swój umysł, zdoła przekroczyć próg! Dlatego niepostrzeżenie kształtował umysły swoich uczniów w nadziei, że rozwinie ich zdolności dla udowodnienia hipotezy, której sam nie podołał.

Narysował teraz na tablicy dwa równe sobie prostokąty, jeden leżący, drugi stojący i wyjaśnił jak można je nałożyć na siebie przez przesunięcie i obrót. Powtórzył przykład z paroma wycinkami koła. Nałożył jedną na drugą kilka innych figur żeby sprawdzić, czy został należycie zrozumiany. Wydało mu się, że dzieci są bardzo bystre, w lot pojęły, o co mu chodziło i pewnie odpowiadały na zadawane im pytania.

Zachęcony tym wywołał z pierwszej ławki jasnowłosego chłopca o świetlistych, czarnych oczach. Kazał mu zdjąć lewy sandał. Pokazał, jak go przyłożyć do tablicy i dokładnie obrysować kredą. Następnie polecił chłopcu postąpić tak samo z prawym sandałem. Uczeń ochoczo spełnił polecenie: lekcja stawała się zajmującą zabawą. Klasa z równym zainteresowaniem śledziła jej wynik. Na tablicy zostały narysowane cienką linią dwa ślady kroków w czarnej przestrzeni.

— *Ile teraz ruchów potrzeba* — zapytał Rocus — *aby te figury nałożyły się jedna na drugą?*

Chłopiec z namysłem przypatrywał się dwóm śladom na tablicy. Rocus z myślą o swoich wykresach czatował w napięciu na odpowiedź. Dziecko namyślało się chyba minutę, po czym odparło z całym przekonaniem:

— *Potrzebne są dwa ruchy: przesunięcie i obrót.*

Rocus nie dał poznać po sobie, że odpowiedź go nie zadawala. Zwrócił się do klasy i powtórzył pytanie:

— *A co wy sądzicie?*

Dzieci bardziej niż uważne patrzyły nań roziskrzonymi oczyma. Milczały nieco zaintrygowane, na twarzach ich malowało się żywe zdziwienie: „Dlaczego profesor nie przyjął tej odpowiedzi?" Problem wydawał się im całkiem prosty. Rocus nalegał.

— *Pomyślcie dobrze, chodzi o to, by figury te nałożyły się całkowicie nie odrywając się od powierzchni, na której się znajdują. Zauważcie* — dodał wskazując rysunek — *że pierwszy ślad ma tę krzywiznę po stronie lewej, a drugi po prawej.*

Klasa milczała równie zakłopotana. Rocus wszedł między dwa rzędy ławek i stanął obok pyzatego chłopca o zabawnej minie. Położył mu dłoń na ramieniu i zapytał:

— *A ty co powiesz?*

Chłopiec lekko zmarszczył czoło, spuścił wzrok, widać było, że się koncentruje; następnie podniósł oczy na Rocusa i odpowiedział bez wahania, jakby wyzywająco:

— *Dwa ruchy: przesunięcie i obrót.*

W klasie wszczęło się lekkie poruszenie. Głowy odwracały się nerwowo ku Rocusowi, dzieci starały się dociec, czego chce nauczyciel, nie pojmując oczywistości.

— *Czy nikt nie jest odmiennego zdania?* — spytał.

Zaległo milczenie, potem kilka głosów powtórzyło nieśmiało pierwszą odpowiedź, dalsze, coraz głośniej, z nutą przekory dołączały się do chóru. Rocus raz jeszcze przyjrzał się dzieciom przez grube soczewski okularów, powrócił na katedrę i rzekł:

— *Dobrze, wyjmijcie więc wszyscy kartki papieru i pokażcie mi, jak to sobie wyobrażacie.*

Był trochę zawiedziony. Zwykle, jeśli nie dwóch lub trzech uczniów, to przynajmniej jeden potrafił zdać sobie sprawę z tego, że mimo identycznego wyglądu figur zwróconych w przeciwnych kierunkach, na lewo i prawo, nie można ich było nałożyć na siebie ruchem przesuwania i obrotu na płaszczyźnie tablicy. „Będę miał kłopot z tym rocznikiem" — pomyślał Rocus. Otworzył dziennik i zaczął go wertować czekając by upłynął czas potrzebny klasie na wykonanie ćwiczenia. Żywił jeszcze nadzieję, iż wielu zdziwi się stwierdziwszy, iż wbrew oczekiwaniom nie mogą nałożyć jednego śladu na drugi. Po mniej więcej dziesięciu minutach oderwał wzrok od dziennika, żeby policzyć, ilu uczniów przekonało się już o trudności problemu. Nie zauważył jednak ani jednego dziecka, które by siedziało stropione nad kartką papieru. Wszyscy uczniowie pracowali pilnie pochyliwszy krótkowłose głowy nad pulpitami, wszyscy rysowali i wycierali coś gumką w skupieniu. „Cóż to za skomplikowane linie kreślą tak zawzięcie?" — pomyślał zaintrygowany Rocus. Widział z wysokości katedry, że na kartkach pojawiały się cienkie krzywe. Nagle spostrzegł, iż siedzący w tyle chłopiec wyciął żyletką wstążkę z papieru i starał się teraz zlepić jej końce po uprzednim obróceniu jednego o 180 st. Ze zdumieniem śledził jego ruchy. Wkrótce zauważył, że inny, uczeń z przodu, robi to samo. Później zobaczył jeszcze dwóch innych zajętych sporządzaniem dziwnych krążów.

Zszedł z katedry i skonsternowany zbliżył się do jednego z chłopców. Na paśmie papieru rozpoznał ślad prawego sandału narysowany w różnych pozycjach, który stopniowo nasuwał się na ślad prawego. Rotacja wskazywała później, jak można uzyskać dokładne nałożenie jednego na drugi. Dzieci wyobraziły sobie i stworzyły model tego, co w topologii nazywa się wstęgą Möbiusa. Na jednostronnej powierzchni rzeczywiście figury mogły się odwrócić nie odrywając od niej a tylko obracając z lewa w prawo lub odwrotnie. Przejęty niesłychanie Rocus jął spacerować między rzędami ławek. Większość dzieci nawet nie uciekła się do intuicyjnego modelu. Na leżących przed nimi kartkach powierzchnia Möbiusa oznaczona była cieniami, które wskazywały krzywiny i kolejne pozycje pierwszego śladu przesuwane aż do nałożenia go na drugi. Rocus jak zahipnotyzowany zawrócił ku tablicy. Wziął do ręki gąbkę i kredę, lecz nie wiedział, co z nimi zrobić. Ponownie objął wzrokiem klasę: jakby ją widział po raz pierwszy. Z miejsca, na którym stał, wpatrzone w niego twarze dzieci zlewały się znowu w jedną, drżącą, świetlaną plamę, rysy ich zamazywała „złocista smuga". Doświadczył nagle bolesnego poczucia własnej zbyteczności. Ale już w chwilę później duszę jego wypełniła radosna pewność, poczucie niższości ustąpiło ogromnej satysfakcji, dostępnej tylko jemu, upajającej jego umysł. Powoli wytarł tablicę. Starannie narysował fragment wyimaginowanej mapy wielu krajów rozdzielonych granicami. Przywołał blondynka i wręczył mu kredę. Sam zaś niespiesznie przeszedł na koniec klasy i poprosił o zeszyt. Powściągając wzruszenie możliwie jasno przedstawił problem czterech barw. Po czym, z wzrokiem utkwionym w tablicy czekał spokojnie jak pilny uczeń, aby zanotować wszystko, czego się dowie.

Przełożyła:
DANUTA BIEŃKOWSKA

Opowiadanie to ukaże się w antologii rumuńskich opowiadań fantastyczno-naukowych, przygotowanej do druku przez Wydawnictwo Poznańskie.

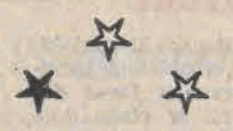

23 sierpnia Rumunia obchodzi swe narodowe święto w rocznicę socjalistycznej konstytucji. Z tej okazji pragniemy dziś zaprezentować czytelnikom „Odgłosów" utwory współczesnych rumuńskich pisarzy związanych głównie z miesięcznikiem „Convorbiri literare", który ukazuje się w Jassach.

Literatura rumuńska w Polsce nie jest dostatecznie poznana. Nawet największy z poetów rumuńskich Mihai Eminescu reprezentowany jest w naszym kraju skromnym wyborem wierszy. Większe szczęście do przekładów miał Tudor Arghezi, oryginalny artysta, którego poematy i wiersze stały się składnikiem ogólnoeuropejskiej kultury. Ale recepcja literatury naszych przyjaciół znad Morza Czarnego jest w Polsce jeszcze wciąż skromna, nie odpowiada jej randze emocjonalnej i estetycznej. Na ten stan rzeczy wpłynęła na pewno w pierwszym rzędzie bariera języka, która tamuje dopływ dzieł pisarzy rumuńskich do naszego kraju. Co prawda w ostatnich latach, wobec coraz częstszych kontaktów polsko-rumuńskich stan ten ulega pewnej poprawie ale wciąż jeszcze lista braków jest ogromna i pod tym względem mamy Rumunom do spłacenia dług, tłumaczą nas bowiem częściej i chętniej.

Z tym większą ochotą prezentujemy więc tutaj tę szczyptę poezji i prozy rumuńskiej w przeświadczeniu, że nic tak nie zbliża jak wzajemne poznanie. Zwłaszcza, że nawet ta skromna próbka, ten okruch współczesnej literatury naszych przyjaciół mówi dostatecznie wiele o jej poszukiwaniu własnego wyrazu. Wierzymy, że dla wielu naszych Czytelników stanie się ona zachętą do sięgnięcia po opracowania obszerniejsze, które coraz częściej można spotkać w naszych księgarniach i bibliotekach. Spora to zasługa także znakomitej tłumaczki Danuty Bieńkowskiej, która spolszczyła w ostatnim czasie wiele wartościowych książek rumuńskich. Jej przekład drukujemy obok.

K.F.

CORNELIU STURZU

NAJTRUDNIEJSZE RZEMIOSŁO

My, którzy zobowiązaliśmy się wobec świata
Polerować gwiazdy, przemalować księżyc
My, zakopujący za dalekimi horyzontami
Głęboko, nocą odpadki
Kłamstw, przemocy, melancholii

My, układający niekiedy wiersze
Jak zapomniane ciastka za witryną,
My, linoskoczkowie, kolędnicy, przebierańcy
Na wszystkich festynach świata

My, kochający namiętnie, po grób
Nasze najtrudniejsze rzemiosło
Przecierając codziennie okna domów
Z zacieków płaczu, z kurzu nienawiści

My, którzy pierwsi widzimy rano przez szyby
Czyste ulice nadziei.

CIAŁO

Rozbierzcie mnie, abym nagi drżał z chłodu,
weźcie mą ufność, żar z pieca zabierzcie,
pozbawcie możliwości chodzenia lub nocy
którymi okrywam się jak bym zapadał w sen.
Zakażcie mi wstępu na wszystkie ulice, którymi chodzę,
pozbawcie całkiem powietrza, abym nie oddychał,
zrabujcie myśli, to i tak ocalę
coś więcej niż tę ziemię
rozkołysaną próżniaczo pod mymi stopami
jak huśtawka zaczepiona o wierną gwiazdę.
Odbierzcie mi wszystko! To i tak ocalę
coś jeszcze ponad marmur bogów,
więcej niż wiatr, niż białe i czarne łabędzie,
więcej niż zielony mech oczekiwania
porastający myśli, me kroki powolne
rozdzielające chwilę od chwili — i padając
w czas jak w otchłań, jeszcze uchwycę
dłonią krawędź jedynej sekundy,
me ciało niczym wahadło zegara
odmierzy dzień od końca do końca,
poszerzy krańce o jeden brzask,
o kolejny wieczór, rozdając złoto słów
na ulicach, w korzeniach czarnych lasów, wśród jaworów.
Zetnijcie mi las! W jego gałęziach
krew będzie tętnić jak soki, jesienią wypełniając słowa
dla zabicia czasu.

AURA MUSZAT

RENESANSE

Sekretny zmierzch w dalekim Assyżu.
Skrył głowę wśród skrzydeł drzemiących ptaszków
dobrotliwego Franciszka.
I rozjarzona jest połowa drogi.
Kielich gorący od wonności
całuje źródła
— bazylia, fiołki —
drżenie lampki.
Malarze
nad gotyckimi bastionami
przepłynęli
sekretnie doskonaląc piaski.

I we śnie — Dragomirna, ze swą anielską wieżą.
W powietrzu rozlegają się kroki,
jelenie z pagórków do winnic
skaczące,
przynoszą niewytłumaczalne pytania
w języku samotności, wieczorem
— kiedy smakuje się słowa
i ogień, słodką cnotę sędziów
rozwieszających włócznie na pustyni.
A myśl
(albo purpura, o, Nessosie,
wyrocznio, centaurze, męczenniku i mędrcu)
oddziela się od słów
składanych w ofierze,
od których
płacze las rękopisów.

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH

MARIA KĘPIŃSKA

TEATRO MUSEO DALI

Figueras — miasteczko hiszpańskie wyprażone słońcem, rozbielone światłem, o jasnych tynkach fasad domów z opuszczonymi w ciągu dnia żaluzjami okien. Położone prawie na krańcu Katalonii blisko granicy francuskiej, na uboczu od autostrady z Barcelony do przejścia granicznego Le Perthus.

Docierają tu tylko wtajemniczeni turyści, którzy wiedzą, że w Figueras urodził się jeden z najwybitniejszych malarzy XX wieku — Salwador Dali. Syn miejskiego notariusza przyszedł na świat 11 maja 1904 roku. W siedemdziesiątą rocznicę urodzin artysty otwarto w Figueras **Teatro Museo Dali.** Jest to jedyne miejsce w Hiszpanii, gdzie można poznawać i analizować różnorodną sztukę i niepowtarzalną osobowość twórcy przeżywając zachwyt i szok jednocześnie.

Próżno było chodzić po madryckim Museo Espanol de Arte Contempora'neo w poszukiwaniu obrazów Dalego. W bogatych zbiorach muzealnych zaledwie dwa są jego pędzla: „Kobieta w oknie z widokiem na morze" z 1923 roku i „Kobieta siedząca" z 1925, które zdjęto z ekspozycji i przekazano do Centrum Pompidou w Paryżu, pozostawiając na ścianach ich czarnobiałe fotografie i opis.

W Barcelonie, w której studiował Dali między 1921 a 1924 rokiem, Museo de Arte Moderno nie posiada ani jednej jego pracy.

Co więc z olbrzymiego dorobku Salwadora Dali pozostało w Hiszpanii? Na to pytanie daje odpowiedź Figueras.

Niewielki plac między wąziutkimi uliczkami miasteczka. Przed klasycystycznym budynkiem pomnik — niepomnik — rzeźba — pierwszy szok: olbrzymia postać siedząca, obleczona powiewającą, jasną tkaniną, w królewskiej pozie zamyślenia. Jajowatą bez rysów twarzy głowę, z której wyrasta inna — wizerunek Woltera wspiera na dłoni niczym Rodenowski „Myśliciel". W drugiej ręce trzyma opartą o kolana złoconą puszkę — klatkę. Clown i król, mędrzec i błazen — oto uosobienie sztuki, naokół zamkniętej, ogrodzonej kręgiem żelaznego płotu o ostrych jak włócznie końcach.

Za wejściem otwiera się widok na duży, okrągły plac — jak patio hiszpańskich domów. W centralnym miejscu stary mercedes — eksponat pochodzący z Międzynarodowej Wystawy Surrealizmu w Paryżu w 1938 roku — „Dżdżysta taksówka". Ze szczelin karoserii samochodu wypływa woda, wewnątrz jej pełno. W tym zbiorniku wody za kierownicą manekiny mężczyzny i kobiety, całe wnętrze pojazdu — fontanny zapełnione zielonią, akwariową roślinnością, na dachu mosiężna rzeźba kobiety o obfitych kształtach, z koafiury mosiężnych włosów strzela do góry i rozdziela się na cztery strugi strumień mosiężnych prętów.

Dziedziniec jest okrągły, koliste ściany budynku ozdobione płaskorzeźbami, dziwnymi maszkaronami o głowach Meduzy, we wnękach posągi, kopie antycznych, gotyckich, barokowych rzeźb. Patio zamyka ogromna tafla szkła. Widać przez nią monumentalne płótno przedstawiające popiersie człowieka wydzierającego się ze skał, kamienistego, górskiego pejzażu. Głowa człowieka bez twarzy ma głębokie jak skorupa wysuszonej ziemi pęknięcia; z wycięcia, okaleczenia pomiędzy piersiami wyrasta enigmatyczna roślina, drzewko. Malowidło otacza kotara, jak klasyczną scenę teatru. Na wprost niej w oddaleniu pustej przestrzeni grupa gipsowych postaci — orkiestra z prawdziwymi instrumentami, milcząca, tragiczna i komiczna zarazem.

Teatro Museo Dali — wielka rekwizytornia imaginacji i sztuki. Tworzą ją przede wszystkim obiekty — przedmioty powołane do istnienia wyobraźnią twórcy oraz rysunki i obrazy.

Mit Dalego, ekscentryka, geniusza i szaleńca unaocznia się. Realizuje w czasie powstającej swoistej akcji, następujących po sobie wydarzeń, jakimi są silne reakcje zwiedzających wynikające ze zderzenia się realnych doświadczeń i racjonalnych nastawień odbiorców z wyłącznie właściwym sztuce nadrealnej światem graniczącym z groteską, absurdem, nierzeczywistością. Dołącza się do tego ruch w przestrzeniach muzeum, w którym zwiedzanie rozpoczynać można z dowolnego kierunku po zamkniętym okręgu koliście biegnących korytarzy i gubiących symetrię salach ekspozycyjnych.

Aranżowana ekspozycja dwupiętrowego, kolistego budynku muzeum jest autorstwa Dalego. W niej współwystępują, kontrastują, uzupełniają się, dopowiadają obiekty przestrzenne, płaszczyzny obrazów i rysunków. Powstaje szczególne enviroment, w którym ruchomymi i realistycznymi elementami kompozycji przestrzennej są ludzie, a statycznymi obiekty.

Surrealizm kontynuował dadaistyczne powoływanie konkretnego, realnego przedmiotu do rangi dzieła sztuki, nadając mu nowe znaczenia i pozbawiając go stałych związków z kontekstem rzeczywistym. Obiekty Francisa Picabii, Man Raya, realy — made Marcela Duchampa miały bulwersować odbiorcę, wyzwalać w nim zaskakujące dla niego samego reakcje, powodować sprzeciwy, ale także stwarzać przekonanie, że każdy przedmiot poprzez sam akt uczynienia go „medium artystycznym" staje się artystycznym obiektem, wobec którego zawodzą zastałe kanony wartościowania estetycznego, zaś gest artysty zawsze jest aktem kreacji. Mistrzem ceremonii gestu steatralizowanego, przeznaczonego i obliczonego na efekt jest Dali, któremu nieobcy jest śmiech ani głęboka, filozoficzna refleksja.

Wnętrza wypełniają wielkie eksponaty, sufit wyłożony wypchanymi workami malowanymi w brązowe i czarne plamy, przez wysokość dwu pięter kondygnacji przewieszony kostium pierrota z trójkątnym, hiszpańskim kapeluszem, przestrzenna replika — wnętrze portretu „May West" z 1936 roku, (znajdującego się w The Art Institute w Chicago), którą ogląda się z galeryjki w kształcie wielbłąda przez soczewkę skupiającą, spłaszczającą przestrzeń do iluzji płaszczyzny malarskiej oraz obiekty nieznane nawet najbardziej zainteresowanym sztuką Dalego. Przy korytarzach, w małych salkach ściany wybite purpurowym aksamitem, stwarzają podobieństwo kaplic kościelnych, ołtarzy, ołtarzyków, na nich umieszczone są przedmioty kultu i adoracji realigijnej. Przeciw nim występuje Dali nieustannie, od 1930 roku, kiedy w Barcelonie głosił hasła antyreligijności sztuki.

Sarkofag robota-atrapy rycerza, wykonanego z metalowych, komputerowych płytek zda się drwić ze stereotypów mitu wielkiej Hiszpanii, jej okresu konkwisty. Mosiężne korony na postumentach, krzyże z kości słoniowej, korali ze zdeformowanymi postaciami ukrzyżowanego — wszystko to jest już nie surrealistycznym, ale wręcz realistycznym komentarzem, drugim obliczem o kraju, w którym kościół religie wykorzystywał w celach politycznej i ekonomicznej ekspansji i wzbogacił się na niej niepomiernie. To kapiące złotem, srebrem, klejnotami bogactwo otaczane monarszą i kościelną purpurą odsłania w sztuce Dalego szkarłat krwi i śmierci, wyzierające z krzywego, ale jednak zwierciadlanego odbicia historii i współczesności Hiszpanii.

Jest jeszcze coś w Teatro Museo Dali, co również dotyczy bardziej rzeczywistości tego kraju, niż kanonów sztuki surrealistycznej. W „Psie andaluzyjskim" zrealizowanym w 1929 roku wspólnie z Luisem Bunuelem była sekwencja, w której głównym planem stała się dłoń pełna mrówek. Mrówki pojawiają się również w malarstwie artysty („Wielki masturbator" — 1929 i inne obrazy), jakby oblaziły malowane przez niego przedmioty. Ten owad jest codziennością hiszpańskiej ziemi; małe, średnie, duże, czerwone, brązowe, czarne mrówki są w każdej szczelinie; jakże zrozumiałe staje się dziwactwo Dalego, który kupił dla siebie mrówkojada.

Przestaje również dziwić pomijanie przez krytykę rozdziału jego malarstwa, jaki tworzą obrazy kamieni układających się w kształty ludzkie, ludzkie twarze. Komponowane z nich formy przypominają manierystyczne kompozycje Arcimboldo. W porównaniu do wizyjnych, obsesyjnych tematów całości malarstwa Dalego te są jakby marginalne, zamknięte formalnie, jakby surowość i jałowość, monochromatyczność barwy całkowicie wyczerpywała możliwości antropomorfizacji kamienistego półpustynnego krajobrazu. Kamienie uczynił również Dali przedmiotem — obiektem układając je w jednej z sal ekspozycyjnych.

„Przedmioty do funkcjonowania symbolicznego" — tak rzeczy przez siebie tworzone nazywał Dali, nie są oderwane od rzeczywistości, nie dają się interpretować jedynie w kategoriach formalnych i ideowych założeń surrealizmu, wkraczają w rzeczywistość pozostając do niej w stosunku analitycznym, krytycznym, symoblizującym. Jest w nich ciągłość linii widzenia roli obiektu w sztuce, stanowią łącznik pomiędzy dadaistycznym, a pop-artowskim, minimal artowskim ujęciem kreowanego przedmiotu. Obiekty Dalego charakteryzuje ściśle symboliczna funkcja zastępowania i reprezentowania treści świata poza artystycznego nie tylko w aspekcie onirycznym i freudowskim, ale także w odniesieniach do treści społecznych i realnych. Realizm stał się dla Dalego bazą poszukiwania symbolicznych treści i symbolicznych form. Warstwę przedstawieniową obrazów artysty formowaną przez wręcz drobiazgowe kształtowanie przedmiotu, tworzenie iluzji trójwymiarowej przestrzeni na dwuwymiarowej płaszczyźnie płótna krytyka i historia sztuki uważa za mniej wartościową niźli treść tego malarstwa. Po zwiedzeniu Teatro Museo Dali trudno się z tym zgodzić.

Teatro Museo posiada obrazy i rysunki reprezentujące każdy z okresów twórczości artysty począwszy od postimpresjonistycznego autoportretu z 1922 roku, poprzez urzekające prostotą formy martwe natury, freudystyczne w symbolice obrazy z lat 1929—39, portrety Gali, obrazy „mistyczno- atomistyczne" z lat pięćdziesiątych aż do obrazów z lat ostatnich. Ekspozycje muzeum przekonują o tym, że sztuka Dalego formalnie niejednokrotnie wyprzedzała późniejsze zjawiska artystyczne. Przykładem — rzeźba postaci nagiej kobiety, z którą Dali często się fotografował, wykonana w 1938 roku porównywana być może z hiperrealistycznymi rzeźbami Johna de Andrea z lat siedemdziesiątych, gipsowe postacie ludzkie z okresu lat czterdziestych z rzeźbami Segala z lat sześćdziesiątych, wczesne malarskie poszukiwania z odradzającym się obecnie w świecie nurtem metaforycznym, wyprzedzenie współczesnego realizmu magicznego.

Twórczość Dalego zawierała w sobie przesłanki rozwoju światowej sztuki współczesnej. Pozostawała również w permanentnym stanie walki o status i prawo do indywidualności artysty i jego dzieła w społeczeństwie, wykorzystując w tym celu wszystkie możliwe sposoby.

Teatro Museo Dali w Figueras jest nie tylko dokumentacją życiowego dorobku artysty i kluczem do zrozumienia przemian sztuki. Jest również symbolem sytuacji sztuki współczesnej. Koliste muzeum porównać można do średniowiecznego wyobrażenia piekła — udręki grzeszników — kolistego labiryntu bez wyjścia.

FILM

„HISTORII FILMU" CIĄG DALSZY

Ukazał się trzeci w kolejności, a czwarty według numeracji tom „Historii filmu polskiego". Jest to wydarzenie dużej rangi wśród publikacji monograficznych dotyczących współczesnej kultury, bowiem obejmuje okres z każdego względu — nie tylko dla filmu — wyjątkowy: lata 1957—1961 Poprzednie tomy zamykały swoim zakresem następujące etapy: I — od początków filmu polskiego do roku 1929 i III — od roku 1939 do 1956. Jak dotąd brak tomu II — który zająłby się drugim okresem filmu międzywojennego.

Wyjątkowość lat opracowanych przez autorów tomu IV (zespół Instytutu Sztuki PAN) wynika zarówno z przemian, jakie nastąpiły w tym czasie w filmie polskim, jak i z przeobrażeń dotyczących całości życia artystycznego. Lata 1957—61 zawierają w sobie okres powstania i triumfu „szkoły polskiej" w filmie fabularnym, wybitne osiągnięcia kina dokumentalnego (tzw „czarna seria" i rezultaty zainteresowań socjologicznych) charakteryzują się także intensywną publicystyką filmową — związaną z nową sytuacją kina. Dodać można jeszcze znaczne przemiany, jakie dokonały się w dziedzinie twórczości oświatowej i animowanej. Biorąc to wszystko pod uwagę, trzeba przyznać, że autorzy IV tomu stanęli przed zadaniem wyjątkowo trudnym. Z jednej strony stosunkowo niewielki okres czasu, jaki upłynął od tamtych lat, świeża pamięć o tamtych wydarzeniach. Wciąż jeszcze żywa obecność intelektualna „szkoły polskiej" w kulturze — sugerowały niebezpieczeństwa wynikające ze — zrozumiałego w publikacji tego typu — spojrzenia zobiektywizowanego, rezygnującego z krytycznych emocji. Z drugiej strony przesadny obiektywizm byłby zabiegiem zdecydowanie sztucznym. Najbardziej trudno rozwiązać te problemy było autorowi części dotyczącej filmu fabularnego. Omawiany okres to przecież lata powstania „Popiołu i diamentu", „Zezowatego szczęścia", „Człowieka na torze", „Lotnej" i wielu innych filmów, o których napisano już sporo — co wcale nie musiało oznaczać, że praca historyka ma ograniczyć się wyłącznie do zabiegów syntetyzujących. Autor omawia filmy dzieląc całość dorobku polskiego kina na dwie tematyczne części. W pierwszej — „rozrachunkowej", dotyczącej wojny i okupacji, idzie tradycyjnym tropem nurtu „kordianowskiego" („Kanał", „Popiół i diament") i „plebejskiego" („Krzyż walecznych", „Kwiecień") Druga — zatytułowana „Od wojny w dzień powszedni" obejmuje omówienia filmów nie nawiązujących bezpośrednio do wydarzeń wojennych, choć wyjątkiem jest tu twórczość Tadeusza Konwickiego („Ostatni dzień lata", „Zaduszki") potraktowana osobno, jako moment narodzin filmu autorskiego.

W następnej części książki ten sam autor (Stanisław Ozimek) zastanawia się w „Spojrzeniu na szkołę polską" nad zawartością tego — stworzonego przez publicystykę — pojęcia i wyróżnia trzy dominujące tendencje w filmie omawianego okresu: romantyczno-ekspresyjną, racjonalistyczną i psychologiczno-egzystencjonalną. Proponuje także roboczo cztery okresy rozwoju „szkoły polskiej" zamykając je datą 1965, choć nawet w kinie dzisiejszym widzi charakterystyczne pogłosy tamtej formacji (co jest nb. sprawą chyba najbardziej dyskusyjną). Można oczywiście polemizować z autorem na temat wyboru poszczególnych głosów krytycznych o omawianych filmach, doboru materiałów źródłowych (wywiady, dyskusje prasowe) — ale porównując tę część IV tomu z analogiczną częścią w tomie poprzednim, trzeba przyznać, że lata 57—61 opracowane są o wiele bardziej przekonująco Istnieje jednak sprawa istotna: dość nieśmiałe (choć zauważalne) próby powiązania sytuacji filmu z atmosferą panującą w bardzo szeroko rozumianej kulturze artystycznej, zwłaszcza w literaturze i teatrze. Podobnie nie do końca podkreślony jest — jak sądzę — związek przemian, jakie dokonały się w filmie ze zjawiskami politycznymi, społecznymi po roku 1956.

Takie same zarzuty można by skierować do autorów następnych części „Historii filmu polskiego", w tym także do autora rozdziału „Drogi rozwoju kinematografii" — Jerzego Toeplitza. W tym fragmencie w sposób najbardziej logiczny zmieściły się szersze informacje dotyczące istotnych przemian (także w polityce kulturalnej) tamtych lat. Wiadomości, które pojawiają się w podtekście całej książki są zbyt przypadkowo dobrane i niewystarczające.

Sporo uwag miałbym natomiast do autorki działu dotyczącego krytyki i publicystyki filmowej — Jadwigi Siekierskiej. Może po prostu skromna objętość tego rozdziału zadecydowała o wyjątkowo skrótowym potraktowaniu tych spraw w IV tomie? Jest jednak faktem, że — na prawie paradoksu — więcej istotnych wiadomości o problematyce ówczesnych dyskusji prasowych zawiera część dotycząca filmu fabularnego. Zbyt duża lakoniczność streszczeń wypowiedzi krytycznych, zwracanie większej uwagi na dosłowną ocenę, niż zawartość myślową — stanowią podstawowe wady tego rozdziału.

Pozostałe części „Historii filmu polskiego" — dotyczące filmu dokumentalnego, oświatowego, animowanego i książek o filmie są — mimo małej liczby bardziej szczegółowych analiz — cennym zbiorem informacji. W sumie IV tom „Historii filmu polskiego" można w pełni docenić za wartości poznawcze, trzeba przyznać mu ogromną rolę — jako publikacji o przeznaczeniu uniwersyteckim, trudno jednak nie wspomnieć o uczuciu niedosytu, jaki pozostawia. Koniec lat pięćdziesiątych w naszym kinie, „szkoła polska" odbierana na bieżąco była zjawiskiem zupełnie wyjątkowym. Teraz, po latach, omówienia filmów, obserwacja procesu „historyczno-filmowego" nie są w stanie przekazać wiele z tamtej atmosfery. Tamte czasy — ale to już zupełnie subiektywna refleksja — zbladły i zszarzały na kartach IV tomu „Historii filmu polskiego". Może na nowe, bardziej oryginalne, budzące większe emocje odczytanie ówczesnych zjawisk filmowych jest po prostu jeszcze za wcześnie?

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

Z GALERKI

RYSZARD STANISŁAWSKI

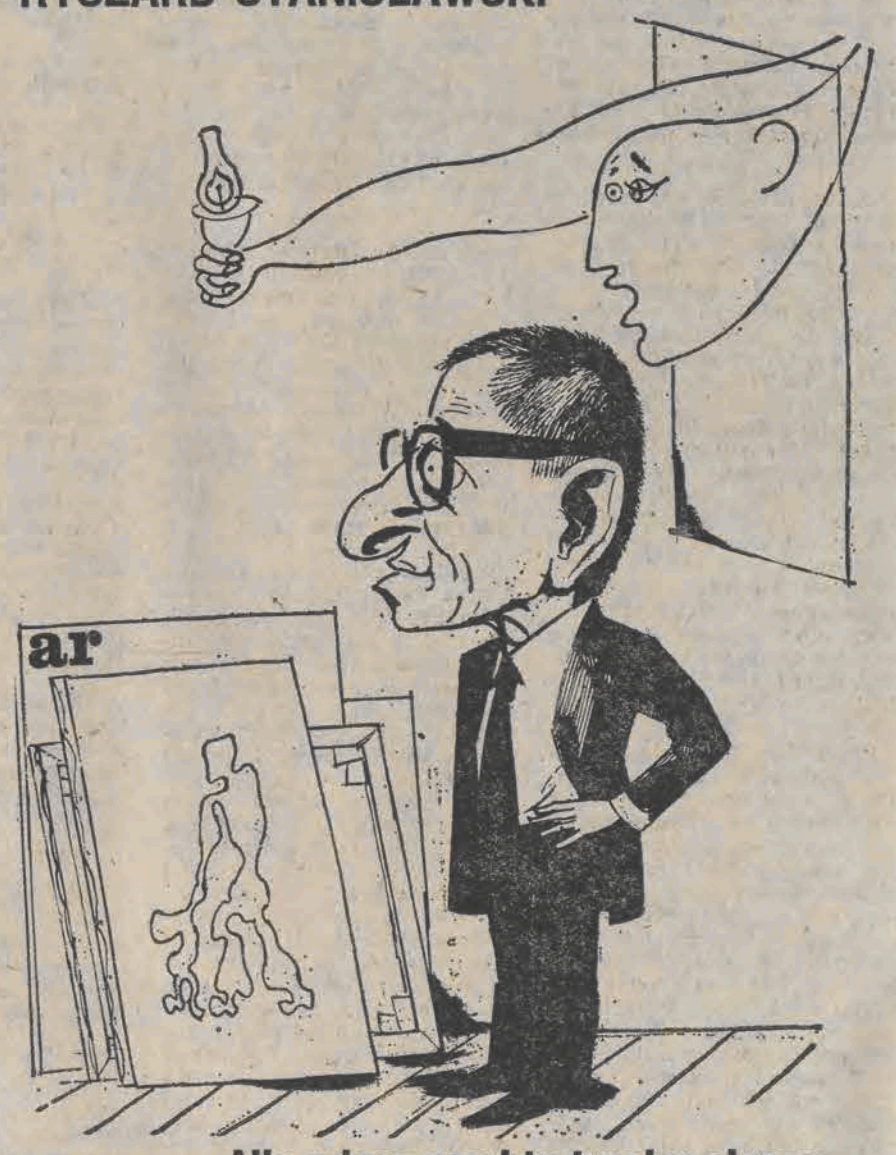

Nie wiem czy kto trzeba słyszy
Jak moje zbiory w piwnicach
zjadają myszy.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław M. Szargan

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

SPRAWA GODNA ZASTANOWIENIA

Był czas, że Włodzimierz Sokorski bardziej był znany jako działacz polityczny i kulturalny, organizator życia literackiego, niż jako człowiek posługujący się piórem, mimo iż zadebiutował stosunkowo wcześnie, bo w 1936 roku, powieścią „Rozdarty bruk". Dopiero w ostatnim dziesięcioleciu wykazuje Sokorski zadziwiającą aktywność na literackiej niwie — co roku ukazują się jego powieści, wspomnienia, eseje. W bieżącym roku ukazały się dwie książki Włodzimierza Sokorskiego: „Czytelnik" wydał kolejną jego powieść, a Krajowa Agencja Wydawnicza opublikowała w serii „Współczesna krytyka polska" zbiór szkiców poświęconych zagadnieniom polityki kulturalnej, charakteryzujących powojenne życie literackie oraz przybliżających sylwetki niektórych wybitnych postaci ze świata polityki i sztuki.

Istotną zaletą tych szkiców jest ich nieskrywany osobisty ton. Sokorski, który aktywnie współuczestniczył w konstruowaniu polityki kulturalnej w Polsce Ludowej, pisze przecież z autopsji, raczej wspomina niż sili się na zbyt dalekosiężne uogólnienia. Posiada to określone konsekwencje: czytelnik otrzymuje książkę, w której zaakcentowane zostaną przede wszystkim własne wizje autora, książkę, w której wyraźna jest dbałość o wymowę realiów (choć zdarzają się lapsusy, np. z imieniem Drozdowskiego — s. 39, 52; czy ewidentne pomyłki, jak włączenie Eugeniusza Kabatca w obręb nurtu ludowego — s. 62). Dlatego też za motto całej wypowiedzi uznać można końcowe słowa szkicu pt.: „Na czym polegają trudności?": „Szczerość jest warunkiem niezbędnym, nie tylko w sprawach przemyśleń osobistych, lecz także uniwersalnych, jeżeli chcemy się zrozumieć i myśleć poważnie. Tym jest podyktowany charakter mojej wypowiedzi. Wrażliwość na sprawy sztuki może nam tylko ułatwić nawiązanie kontaktu z czytelnikiem. Dopiero czas zweryfikuje nasze sądy, ale sądy te muszą istnieć żeby pozostać w literaturze i w przeżyciu ludzkim".

Podstawową tezą, przypomnianą przez Włodzimierza Sokorskiego, jest otwartość kultury polskiej, chłonnej, ciekawej świata i człowieka, starającej się konfrontować to wszystko, co uznajemy za typowo polskie, z wartościami uniwersalnymi, obowiązującymi zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Zagadnienie jest ważne również dlatego, iż trudno sobie przecież wyobrazić, aby mogły powstać wybitne dzieła współczesne, ograniczające spojrzenie na człowieka. Jest to teza bardzo dawna i na ogół nie kwestionowana. To znaczy, że akceptują ją również twórcy. Dlaczego jednak niezbyt często mamy do czynienia z utworami naprawdę znaczącymi? Powodów z pewnością jest wiele, między innymi fakt, iż większość utworów z zakresu literatury pięknej nie przekazuje nam wiedzy wykraczającej poza informację potoczną, codzienną, mówiącą niejednokrotnie mniej o współczesności niż tak zwane publikatory. A czekamy na utwory zrodzone po pierwsze z autentycznej potrzeby, prezentujące przy tym złożoność intelektualnej wizji. Mimo potwierdzenia takiego stanu rzeczy Sokorski nie dostrzega symptomów kryzysu w naszej współczesnej literaturze i z właściwym sobie optymizmem uważa, że jeśli pisarz znajdzie klucz do własnej osobowości to znajdzie go również do niełatwych problemów szeroko pojętej współczesności.

Znaczną część książki Włodzimierza Sokorskiego stanowią beletryzowane niekiedy refleksje o działalności Zygmunta Berlinga, Władysława Krasnowieckiego, Leona Schillera, Xawerego Dunikowskiego, Jerzego Antczaka, Tadeusza Hołuja, Jarosława Iwaszkiewicza, Stanisława Grochowiaka. Chce w nich Sokorski przekazać specyfikę osobowości tych wybitnych ludzi, pokazać wielkość ich dzieła, nie zapomina przy tym o zwykłych ludzkich drobiazgach. Bo przecież o świadomości kulturalnej decydują wszystkie elementy.

„Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe, lub skuteczniejsze — nie rusz mnie, to i ja ciebie nie ruszę, dominuje jako pogląd w naszych środowiskach twórczych" — z niejaką melancholią stwierdza autor „Czasu, który nie mija". Jak temu zaradzić, jak się przeciwstawić owej usypiającej tendencji? Na początek Sokorski proponuje przywrócić rangę humoru w naszym życiu, odświeżyć ożywcze działanie dowcipu i śmiechu. Po prostu więcej tolerancji dla siebie i dla innych. Tym bardziej, że przecież Polacy uważają się za naród dowcipny. Niegdyś podobnie sądzili nawet cudzoziemcy, pisząc na przykład: „Ludzie w Polonii są bardzo dowcipu ostrego..." Jak to się dziś sprawdza?

Włodzimierz Sokorski spogląda na literaturę z pozycji człowieka życiowego, to znaczy traktuje ją nie jako wieżę z kości słoniowej, lecz jako ważki składnik naszej codzienności, bez którego ludzie nie będą w stanie zaspokoić dobrze wszystkich potrzeb intelektualnych. Dlatego zależy mu na utrzymaniu jej tradycyjnej funkcji w życiu narodu. Dlatego domaga się dzieł mądrych, lecz jednocześnie czytanych przez możliwie najszersze kręgi społeczeństwa, zrozumiałych i pobudzających do myślenia. Pisze: „Człowiek jest żywą i zmienną materią. Należy mu pomóc, a nie stawiać zadań nie do wykonania. Sprawę literatury oraz filmu jest mówić o tych sprawach szczerze i rozumnie, pamiętając, że trzecie królestwo myślenia jest dostępne dla każdego, pod warunkiem dobrej woli, znajomości praw dialektyki i odwagi cywilnej. Nie jest to dużo, ale zawsze. Sprawa prosta, lecz godna zastanowienia".

Włodzimierz Sokorski, „Czas, który nie mija", Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1980, nakład 20 000 + +350 egz., cena zł 30.—

JERZY WILMAŃSKI

MIĘDZY NIEKONSEKWENCJĄ A POLEMIKĄ

Polityką wydawniczą rządzą dziwne prawa — ujęcie ich w jakieś racjonalne ramy jest często niemożliwe. Oto ukazała się książka Macieja Łukasiewicza, będąca — najogólniej mówiąc — próbą podważenia hipotez o kosmicznych źródłach współczesnej cywilizacji.

Książkę Łukasiewicza wydano w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy. Książki większości krytykowanych przez niego badaczy nie ukazały się w Polsce wcale. Spośród kilku książek Ericha von Daenikena opublikowano w Polsce tylko dwie w łącznym nakładzie 15 tysięcy egzemplarzy. Sytuacja zatem wygląda tak, że hipotezy — nazwijmy je „daenikenowskie" — przedstawione zostały czytelnikom w sposób fragmentaryczny i w ograniczonym nakładzie — natomiast krytyka owych hipotez kolportowana jest w nakładzie masowym. Metoda oczywiście nie jest nowa, ale nie można jej pominąć milczeniem.

Z owej metody bowiem wynikają dalsze konsekwencje, których jaskrawym przykładem jest właśnie książka Macieja Łukasiewicza „Między niebem a ziemią".

Początek jest mało zachęcający. Ton i argumentacja Łukasiewicza w niczym nie odbiegają od znanego już chóru ironicznych połajanek pod adresem Daenikena. A więc, że nie jest naukowcem, że jest kasowy i popularny, że sam nic nie wymyślił tylko zebrał istniejące teorie i zręcznie rozpropagował... Oczywiście Łukasiewicz ma rację i sam Daeniken mógłby mu przyklasnąć. To przecież sam Daeniken wielokrotnie podkreślał, że nie stworzył żadnej nowej hipotezy, tylko dopisuje swoje refleksje i odkrycia do istniejącego stanu badań.

Zresztą Łukasiewicz jest znacznie częściej niekonsekwentny. Zarzuca Daenikenowi brak dyplomu i tytułu naukowego a jednocześnie stwierdza, że to przecież w wyniku działalności Daenikena powstało poważne Towarzystwo Starożytnej Astronautyki, liczące dziś około tysiąca osób, z których ogromna większość posiada wykształcenie akademickie a ponad sto ma tytuły naukowe. Można by sobie życzyć więcej takich dyletantów, którzy potrafią zjednać dla swoich poglądów sławy naukowe obu półkul.

Ale — jak się rzekło — Łukasiewicz postanowił być niekonsekwentny. Parę stronic dalej przyrównuje szwajcarskiego badacza do jakiegoś zwariowanego mitomana z XIX wieku. Stronicę dalej jednak oświadcza, że nie chce z Daenikena robić aferzysty lub półgłówka, bowiem posiadł on sporą wiedzę i działa w dobrej wierze. Parę zdań dalej zarzuca Daenikenowi, że jest niedokształcony...

I taka huśtawka opinii trwa przez cały pierwszy rozdział książki, który pointuje zdanie członka Akademii Nauk Związku Radzieckiego, że „nie wolno odrzucać czegoś z góry, jedynie dlatego iż to „coś" nie pasuje do naszych wyobrażeń o cywilizacji przeszłości".

Maciej Łukasiewicz postąpił w sposób typowy. Zabezpieczył się paroma epitetami pod adresem Daenikena — zostawiając sobie furtkę w postaci cytatu radzieckiego akademika.

I od tego miejsca — od strony 25 — zaczynamy mieć do czynienia ze względnie obiektywną prezentacją całego szeregu nie wyjaśnionych problemów astroarcheologii. Od tego miejsca książka Łukasiewicza jest interesującą próbą podważenia — ale zgodnie z zasadami fair play — fantastycznej hipotezy o kosmicznych źródłach naszej cywilizacji.

Łukasiewicz jest owej teorii przeciwnikiem. To jego dobre prawo. Ale poważna i rzetelna część jego książki jest uczciwą próbą dyskusji, próbą, która budzi szacunek, choć oczywiście, nie ze wszystkim można się tam zgodzić. Nie jest na przykład prawdą, że o piramidach wiemy wszystko, że nie kryją one zdumiewających zagadek, o których nie chcą mówić uczeni; nie jest też prawdą, że wszystko jest jasne w kwestii tzw. płyty z Palengue.

Na chwałę Łukasiewicza należy jednak zapisać to, że w swoim obiektywizmie potrafi pójść tak dalego, iż ostro i logicznie podważa polemiczne wywody niektórych zacietrzewionych przeciwników Daenikena — czyli swoich potencjalnych sojuszników.

Recencja tej książki — jak łatwo czytelnicy zauważą — jest równie niekonsekwentna jak postawa autora „Między niebem a ziemią". Zaczyna się pretensjami do Macieja Łukasiewicza — kończy jego pochwałą. Ale cóż robić, gdy autor swoje rzetelne i obiektywne wywody zaopatrzył we wstęp, który tak się ma do całej książki jak kultura Majów do kultury telewizyjnej dyskusji redaktora Misia z Erichem Daenikenem.

Maciej Łukasiewicz — „Między niebem a ziemią", KAW, cena 28 zł.

Pan dyrektor i jego strażnik

W związku z krytyką prasową zawartą w notatce pt. „Strażnik w Wieluniu aresztował... fotoreportera", zamieszczonej w „Dzienniku Popularnym" nr 152 z dnia 11—13 lipca 1980 r. i w artykule Zofii Turowskiej pt. „Pan Dyrektor i jego strażnik", opublikowanym w „Odgłosach" nr 29 z dnia 20 lipca 1980 roku, a dotyczącą niewłaściwego, z przekroczeniem kompetencji zachowania się strażnika Straży Przemysłowej Zakładów Urządzeń Galwanicznych i Lakierniczych w Wieluniu w stosunku do pracowników Krajowej Agencji Wydawniczej w Łodzi wykonujących zdjęcia (m.in. biurowca ZUGiL) do przygotowywanego przewodnika turystycznego po ziemi wieluńskiej — uprzejmie informuję, że tut. Prokuratura przeprowadziła w tej sprawie stosowne postępowanie wyjaśniające, które wykazało, że zastępca komendanta Straży Przemysłowej ZUGiL Zdzisław Bednarek zatrzymując osoby związane z wykonywaniem zdjęć nie dopuścił się przestępstwa i jego żądania w przedmiocie określonego zachowania się przez te osoby nie zawierały cech samowolnego przekroczenia kompetencji. Wypełniał on swe obowiązki nałożone na niego ustawą z dnia 31 stycznia 1961 roku o Straży Przemysłowej (Dz. U. nr 6, poz. 42), regulaminem Straży Przemysłowej wprowadzonym w życie zarządzeniem nr 4 Ministra Przemysłu Maszynowego z dnia 14 lutego 1978 roku i instrukcją NOP/1/80 w sprawie filmowania, fotografowania, zwiedzania zakładów i wstępu obcokrajowców na teren zakładów wprowadzoną do stosowania zarządzeniem nr 20 Dyrektora „Techma — ZUGiL" w Wieluniu z dnia 30 czerwca 1980 roku.

Cytowane wyżej regulamin i instrukcja zabraniają bez zezwolenia dyrektora fotografowania widoku ogólnego przedsiębiorstwa oraz widoku ogólnego z zewnątrz poszczególnych obiektów (§ 47 ust. 2 pkt. 1 i 2 regulaminu).

Trudno wprawdzie wymagać od osób nie będących pracownikami danego zakładu znajomości obowiązujących w nim przepisów, dziennikarze winni jednak przestrzegać (i dyrektorzy zakładów również) dotyczących ich postanowień uchwały nr 19 Rady Ministrów z dnia 17 lutego 1978 roku w sprawie dalszego usprawnienia informacji dla środków masowego przekazu. Z tego aktu prawnego wynika, że m.in. i na fotografowanie należy uzyskać zgodę dyrektora zakładu.

Nielegalne fotografowanie obiektów zakładów uspołecznionych może być dokonywane dla celów przestępczych. Najczęściej się zdarza, że fotografujący nielegalnie takich celów nie ma i pozostaje tylko w sprzeczności z aktami prawnymi typu administracyjnego.

W przypadku redaktor Zofii Turowskiej i fotoreportera Zbigniewa Nowaka oraz dyrektora Muzeum Ziemi Wieluńskiej Tadeusza Olejnika nie może być mowy o uzasadnionym podejrzeniu nawet usiłowania popełnienia przestępstwa. Cel fotografowania okazał się inny i społecznie pożyteczny.

Jednak w pierwszej chwili nie tylko strażnikowi, ale nawet i pracownikowi organów ścigania, trudno jest prawidłowo ocenić czy w przypadku fotografowania niektórych obiektów ma się do czynienia z działaniem przestępczym czy też nie. Podejrzenie o popełnienie przestępstwa stanowi więc konieczny wstęp do określonych czynności sprawdzających (trwających dłużej lub krócej w zależności od okoliczności i stopnia fachowości osoby dokonującej ich), które dopiero pozwalają na stwierdzenie czy podejrzenie jest uzasadnione i podjęcie dalszych decyzji przez kompetentne organa.

Zdzisław Bednarek nie znał dziennikarzy, nie znał też z widzenia Tadeusza Olejnika. Po stwierdzeniu, że osoby związane z wykonywaniem zdjęć nie mają zezwolenia dyrektora zakładu miał więc podstawę do ich zatrzymania w oparciu o art. 4 ust. 3 cytowanej ustawy.

Z prawnego punktu widzenia nie można w postępowaniu Z. Bednarka dostrzec żadnych nieprawidłowości. Należy jedak przyjąć, że od momentu dokładnego zorientowania się, iż ma on do czynienia z dziennikarzami i Tadeuszem Olejnikiem, o którego funkcji i działalności wcześniej słyszał, oraz po zorientowaniu się o celu i zakresie fotografowania jego zachowanie było zbyt formalistyczne i przesadne.

Usprawiedliwia go w pewnym sensie fakt otrzymywania nieprecyzyjnych telefonicznych poleceń z odpowiedniego wydziału Komendy Wojewódzkiej MO w Sieradzu (w oparciu o nie żądał okazania delegacji służbowych, dowodu rejestracyjnego samochodu, okazania sprzętu fotograficznego znajdującego się w samochodzie, oraz wydania aparatu fotograficznego oraz wydania rolki z kliszą).

Polecenia te ostatecznie do niczego nie doprowadziły, przeciągając tylko pobyt dziennikarzy i T. Olejnika w pokoju służbowym komendanta Straży Przemysłowej do około półtorej godziny. Przybycie funkcjonariusza z miejscowego Komisariatu MO powinno nastąpić już wcześniej. Opóźnienie spowodowane było koniecznością podjęcia przez dyżurujących funkcjonariuszy MO innej, także pilnej, interwencji na terenie miasta.

W celu uniknięcia w przyszłości podobnego incydentu, w najbliższym okresie ustawione zostaną w odpowiednich miejscach wokół terenu ZUGiL znaki informacyjne o zakazie fotografowania bez zezwolenia. Nadto sprawa właściwej i skutecznej współpracy organów Milicji Obywatelskiej ze Strażą Przemysłową w tego typu sytuacjach zostanie omówiona na okresowej naradzie prokuratorsko-milicyjnej.

Jednocześnie informuję, że poruszane w artykule Z. Turowskiej zachowanie się dyrektora „Techma—ZUGiL" w Wieluniu Stanisława Poznerowicza nie było przedmiotem prokuratorskiego postępowania wyjaśniającego.

Nawet gdyby z góry przyjąć zarzut red. Z. Turowskiej w stosunku do St. Poznerowicza za całkowicie zgodny z prawdą, to zachowanie się dyrektora nie stanowi znamion przestępstwa ściganego z urzędu, lecz z oskarżenia prywatnego, a nadto może być przedmiotem postępowania służbowego i partyjnego.

ANDRZEJ SOWIŃSKI
zastępca prokuratora rejonowego

* * *

W odpowiedzi na sprawę poruszoną przez red. Ob. Zofię Turowską w nr 29 „Odgłosów" z 20 lipca br. w artykule pt. „Pan Dyrektor i jego strażnik" — z upoważnienia Dyrektora Naczelnego informuję, że równolegle z postępowaniem wyjaśniającym, przeprowadzonym przez Zastępcę Prokuratora Rejonowego w Wieluniu oraz Naczelnika Wydziału Inspekcji KW MO w Sieradzu — przeprowadzono stosowne rozpoznanie przez Służby Zjednoczenia.

W wyniku działania, o którym mowa wyżej stwierdzono że:

— Postawa zastępcy komendanta straży przemysłowej wynikała z obowiązujących przepisów a w.w. nie przekroczył swoich uprawnień, ustalonych w przepisach o straży przemysłowej.

— Fotoreporter KAW — Oddział w Łodzi wykonywał zdjęcia fotograficzne Zakładów „Techma — ZUGiL", nie dysponując na to pozwoleniem dyrektora Zakładu.

— Ujęte w artykule fakty postępowania pracowników straży przemysłowej ZUGiL w Wieluniu nie zostały potwierdzone, a cała treść przedmiotowego artykułu stwarza pewne podstawy do mniemania o chęci odwrócenia uwagi od sprawy niedostatecznej znajomości przepisów przez pracowników Waszej Redakcji.

— Nie zdołano uzyskać potwierdzenia treści telefonicznej wypowiedzi Dyrektora Zakładu mgr St. Poznerowicza w wersji przytoczonej przez red. Z. Turowską. Na uwagę zasługuje fakt, że Ob. mgr St. Poznerowicz jest wieloletnim dyrektorem „Techma — ZUGiL, za uzyskiwane wyniki pracy cieszy się bardzo dobrą opinią a dotychczas do Zjednoczenia nie wpłynęły jakiekolwiek skargi na temat niewłaściwego odnoszenia się Dyrektora do współpracowników i innych osób.

Jakkolwiek postępowanie wyjaśniające, przeprowadzone przez Prokuraturę Rejonową, Wydział Inspekcji KW MO w Sieradzu oraz Służby Centrali Zjednoczenia nie przyniosły potwierdzenia zarzutów zawartych w przedmiotowym artykule — to jednak Zjednoczenie Modernizacji Przemysłu Maszynowego „Techma" wyraża tą drogą ubolewanie z powodu zaistniałego incydentu.

Upoważniono mnie do przekazania Redakcji „Odgłosów" wyrazów przekonania, że tak jak dotychczas tak i w przyszłości nasze kontakty i współpraca z prasą będą prawidłowe i pozytywne. Ze swej strony Zjednoczenie „Techma" zgłasza pełną gotowość do takiej współpracy.

mgr RYSZARD ZIÓŁKOWSKI
główny specjalista do spraw organizacji i zarządzania Zjednoczenia Modernizacji Przemysłu Maszynowego „TECHMA"

OD REDAKCJI: Wyjaśnienie podpisane przez mgr Ryszarda Ziółkowskiego jest obraźliwe. Gdyby dyr. St. Poznerowicz mógł zaprzeczyć czemukolwiek, z tego, co zostało napisane, byłby to uczynił.

Jesteśmy całkowicie pewni, że red. Zofia Turowska, podobnie jak dyr. St. Poznerowicz jest wieloletnią dziennikarką, pracowała w kilku redakcjach, **„za uzyskiwane wyniki w pracy cieszy się b. dobrą opinią"**, a dotychczas nie wpłynęła na nią **„jakakolwiek skarga na temat niewłaściwego odnoszenia się"** do innych. Tylko, że nas interesował konkretny przypadek, a nie chwalebna przeszłość dyr. St. Poznerowicza.

Wiceprokurator Andrzej Sowiński zadał sobie niemało trudu, aby całą rzecz opisać i wdzięczni jesteśmy mu za to. Zastanawiamy się jednak, czy przy obecnym rozwoju techniki fotograficznej, w tym satelitarnej, takie zakazy mają większy sens? Przypominamy, że Zb. Nowak fotografował biurowiec ZUGiL w Wieluniu.

I jeszcze jedna wątpliwość. Dlaczego przy tak drobiazgowym opisie zajścia umknął jakoś fakt, że było to naruszenie godności osobistej i zawodowej dziennikarzy. Możliwość dokonania przestępstwa — jak to dowodzi A. Sowiński — nie pozwala jeszcze nikomu traktować wszystkich jak przestępców.

Do niektórych konsekwencji wynikających z tej sprawy będziemy jeszcze chcieli wrócić.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

OBYCZAJE, OBYCZAJE...

Na upadek obyczajów narzekaliśmy zawsze. To nawet zrozumiałe, że kiedy człowieka irytuje dzisiejsze chamstwo, brak taktu, egoizm — powiada, że dziczeją nam obyczaje i świat parszywieje... Ale, jak się tak dobrze zastanowić, jak sięgnąć pamięcią w gąszcze literatury?

Przecież już w początkach XV wieku jakiś żak czy dworzanin, zwany Słotą, napisał znamienny wiersz „O zachowaniu się przy stole". Gdyby nie archaiczna dziś polszczyzna tego wiersza, mógłby on służyć jako zupełnie współczesny podręcznik savoir-vivre'u.

Do żelaznego repertuaru każdego pokolenia należy narzekanie na dzisiejszą młodzież. Mówi się, że źle wychowana (przepraszam, przez kogo?), że gburowata, nieobyczajna, samolubna...

Czy to prawda? Może trochę tak, tylko, że to nic nowego. Nie będę już sięgał do XV-wiecznego wiersza, ale przypomnę publikację nieco nowszą. Mam w swoich zbiorach książeczkę pod przydługim tytułem: „Rysy charakterystyczne złego wychowania, czyli uczynki i mowy przeciwne grzeczności, które moraliści starożytni jako i nowożytni za takie znali".

Tę zabawną książeczkę przetłumaczył z francuskiego „były guwerner w chełmińskim Korpusie Kadetów", Stanisław Borodzicz i wydał w Warszawie A.D. 1877.

Guwerner Borodzicz podaje 555 rysów złego wychowania. Sporo tego! Myślę, że nawet najbardziej gderliwa, współczesna ciotka nie znalazłaby aż tylu cech złego wychowania u współczesnej młodzieży.

A oto, jak postępował młodzieniec źle wychowany w XIX wieku:

„Ma nos w talerzu, można powiedzieć, jak baran pasący się na trawie", albo: **„Ociera czoło, oczy, i nos serwetką lub obrusem, a nawet i ręką"**, albo: **„Gdy kto ma usiąść, usuwa krzesło, ażeby ten upadł"**... I tak dalej.

Jak więc widać, także w wieku XIX publicyści mieli prawo narzekać, że dziczeją nam obyczaje. Podobnie jak narzekają dziś, jak narzekać będą za lat sto i dwieście. Bowiem narzekanie na obyczaje jest niezmienną cechą obyczajów.

Na koniec nieco podbudowy naukowej. Bo cóż to jest obyczaj? Otóż, jest to powszechnie uznana, uświęcona tradycją forma zachowania się, przyjęta w danej zbiorowości społecznej. To ostatnie zastrzeżenie jest bardzo ważne. Na przykład w naszej zbiorowości społecznej do dobrego obyczaju należy całowanie kobiet w rękę. Gdzie indziej budzi to zdumienie panów i zachwyt pań. Nasze panie przyjmują to jako rzecz całkiem oczywistą.

Amerykanie, na przykład, w obecności kobiet, w pomieszczeniu zamkniętym, np. w windzie, zdejmują nakrycia głowy. Widzimy to nieraz na amerykańskich filmach. Nas to dziwi. Nie ma u nas tego obyczaju.

Przed wielu laty „Przekrój", który był wówczas prawodawcą norm obyczajowych, próbował walczyć z obyczajem całowania kobiet w rękę. Wymyślono nawet znakomitą, chwytliwą propagandowo nazwę: cmoknonsens. Nic nie pomogło. Slogan został, ale obyczaj okazał się silniejszy. I bardzo dobrze, bowiem jest to piękna, pełna galanterii, typowo polska forma powitania.

Szacunek dla obyczaju, podobnie jak narzekanie na jego upadek, zawsze były tematem naszej narodowej literatury. Pamiętać przeto należy słowa Henryka Rzewuskiego, który napisał: **„Narody niczym innym nie umierają, tylko pogardzeniem wierzeń i obyczajów ojczystych"**.

Natomiast pierwszy polski pisarz, ojciec narodowej literatury, Mikołaj Rej, powiadał:

„Herby nie pomogą do złych obyczajów.
By ich też snadź dostawał i z dalekich krajów".

Co przełożywszy na współczesną polszczyznę mogłoby brzmieć tak:

„Stanowiskiem nie przesłonisz obyczaju złego,
Choćbyś je otrzymał nawet od pierwszego".

To znaczy — od pierwszego najbliższego miesiąca.

Uświęcony tradycją obyczaj — jak twierdzą socjologowie — jest także pewną formą kontroli społecznej. Kto ten obyczaj lekceważy, kto jego normy łamie — ten rychło znajdzie się poza nawiasem społecznej akceptacji. I tak od XV wieku, poprzez Reja i wiek XIX, doszliśmy do współczesności.

WIDOK

LEWYM OKIEM

Jeszcze raz o pustej plaży

Czytałem artykuł Marty Miklaszewskiej w „Literaturze" pt. „Puste plaże", a właśnie był lipiec i siedziałem w Sopocie. Widziałem więc te naprawdę puste plaże, przy jednoczesnym ścisku na deptaku, na molo i we wszystkich możliwych miejscach. Na molo nie warto chodzić, bo morze śmierdzi jak balia z moczącą się bielizną, na deptaku śmierdzi oliwa z dziesiątków smażalni ryb, frytek, pizzy (nabieranie gości!), i kebabu (skandal!), więc też nie warto chodzić. Ale tłumy są i udają, że świetnie się bawią.

Wracając do artykułu — groza ogarnia, gdy się człowiek dowie o tym, że według specjalistów trzeba by jedną szklankę wody z zatoki rozpuścić **w stu tysiącach szklanek** wody czystej, żeby można było w tym się kąpać. Łyk wody z zatoki — to zakaźna żółtaczka, albo jakieś tam skórne świństwo. Z całego uroku plaży została już tylko opłata klimatyczna. Co to będzie dalej, rany boskie?

W tymże artykule wybitny fachowiec na pytanie, co trzeba by zrobić, żeby przywrócić szczęśliwy stan pełnej urlopowej użyteczności polskiego morza, najpierw wzrusza ramionami, a potem stwierdza z rezygnacją:

„Według danych międzynarodowych tylko takie państwo jest w stanie skutecznie chronić swoje środowisko naturalne, w których dochód na głowę obywatela wynosi dwa tysiące dolarów".

Żeby zwiększyć dochód, trzeba rozwijać przemysł, czyli zanieczyszczać środowisko. Nie bawić się w żadne filtry, oczyszczalnie i ścieki, bo to podraża koszty produkcji, czyli zmniejsza dochód na głowę, czyli opóźnia ochronę środowiska. Dopiero jak się środowisko zapaskudzi doszczętnie — można będzie sobie pozwolić na przystąpienie do oczyszczania. Oczywiście, to oczyszczanie będzie wtedy jeszcze kosztowniejsze, bo leczyć zawsze trudniej, niż zapobiegać, ale „według danych międzynarodowych" takie są właśnie obiektywne prawa rozwoju naszego najlepszego ze światów.

Byłaby jeszcze inna droga zwiększania dochodu na głowę: zamiast mnożyć dochód, można przestać mnożyć głowy. Pisałem niedawno felieton o „Wyspie mrówek", po którym nazwano mnie czarnowidzem i katastrofistą. W miesięczniku „Prezentacje", który przedrukowuje wiele ciekawych artykułów z prasy światowej, znalazłem pozycje, którymi ktoś tam chciałby pewnie pocieszyć podekscytowaną publiczność. Oto na przykład za „International Affairs" powtórzono wiadomość taką: ...istnieje „hipoteza, którą popiera wielu demografów w Związku Radzieckim i za granicą, zgodnie z którą liczba ludności na Ziemi ma ulec stabilizacji i ukształtować się w drugiej połowie XXI stulecia na poziomie od 10 do 15 miliardów". Nie mówią nam jednak, jak to jest możliwe. Cóż to się stanie, że liczba ludności dopiero wtedy przestanie wzrastać? Przestaną się rodzić dzieci? 15 miliardów starców na świecie, a tylko gdzie niegdzie wnuczek? O rany, jak dobrze, że tego nie doczekamy! Wystarczy wyobrazić sobie trzy razy bardziej niż dziś zatłoczony Sopot, trzy razy obfitsze ścieki kanalizacyjne, bo wciąż tej samej zatoki, trzy razy większy ścisk na spóźniających się pociągach...

Ja wiem, z tego wszystkiego, co tu piszę nic nie wynika. Może jakiś tam powód do myślenia, ale mały, maleńki. A w ogóle cóż to za pisanie... Karol Badziak stwierdził przecież autorytatywnie w marcowym numerze „Prasy Polskiej", że prawdziwych felietonistów to „w Krakowie, jest dwóch, w Warszawie pięciu, w Łodzi pół...". Badziak mieszka w Łodzi, ale felietony publikuje w Warszawie, pogarszając tym samym statystykę do stanu jak wyżej. I oto mamy dwóch godnych reprezentantów naszego miasta na terenie stolicy: Romana Gorzelskiego, drukującego w „Szpilkach" pamflety na łódzki Ciemnogród, i Badziaka, informującego „Prasę Polską" jak to jest z tą łódzką felietonistyką.

Ponieważ znam w Łodzi około dziesięciu ludzi, piszących felietony (w czym muszę także liczyć siebie, skoro niniejsze „Lewe oko" jest moim 745 felietonem z kolei) — wychodzi jak ulał, że każdy z nas jest wart tyle, co jedna dwudziesta felietonisty warszawskiego lub krakowskiego. Cóż, jak na taki Ciemnogród — dobre i to.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

ZROZUMIAŁEM TĘ ALUZJĘ

Stefan Rybicki z Łodzi był niedawno w Krakowie. Tam w „Dzienniku Polskim" przeczytał felieton Krystyny Zbijewskiej pt. „Pamięć o Sztaudyngerze". Wyciął go z gazety i przesłał nam bez słowa komentarza. Przeczytałem felieton przesłany nam przez Stefana Rybickiego i mogę powiedzieć, że aluzję zrozumiałem.

O czym pisze Krystyna Zbijewska? Przypomina ona o tym, że w roku 1980, dokładnie 12 września minie dziesiąta rocznica śmierci Jana Izydora Sztaudyngera. I że w związku z tą rocznicą do różnych pism krakowskich napływają wspomnienia tych, którym dane było znać poetę bliżej.

Jan Sztaudynger urodził się w Krakowie w 1904 roku. Tam — jak to się wówczas mawiało — chodził do szkół, pobierał nauki, ukończył Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Debiutował w 1924 roku, a więc kiedy miał 20 lat. W dwa lata później, jako 22-letni młodzieniec, wydał swój pierwszy tom poezji „Dom mój". Był nauczycielem, pracował w teatrze lalek. Już po wojnie redagował czasopismo „Teatr Lalek".

Pamiętam nasz zachwyt, gdy w 1954 roku ukazały się „Piórka". Wtedy mówiło się fraszkami Sztandyngera. Skończył się przecież okres ponuractwa. Okazało się, że świat może być barwny, wesoły, radosny nie tylko w rzeczywistości, ale można to też pokazywać w sztuce, w kinie, w literaturze. Jan Sztandynger był mistrzem fraszki. Wydał kilka ich tomów. Wszystkie natychmiast rozchwytywane przez czytelników.

Pozostały po nim książki, wspomnienia, wdzięczność czytelników. Pozostał w Zakopanem dom pod Wielką Skocznią. I właśnie o tym pisze Krystyna Zbijewska. Dom ten jest własnością rodziny poety. W latach sześćdziesiątych postanowiono dom też zburzyć. Potrzeba było wówczas kampanii społecznej, aby dom uratować. Dziś jest on remontowany. Remont ten trwa bardzo długo i Zofii Sztaudynger przysparza wiele kłopotów. Na przykład istnieją zakazy instalowania ogrzewania elektrycznego. Wiadomo, mamy trudności energetyczne. Ale w domu pod Wielką Skocznią takie ogrzewanie jest niezbędne. Zaraz wyjaśnię, dlaczego.

Po śmierci poety powstał pomysł urządzenia w domu pod Wielką Skocznią muzeum poświęconego pamięci Jana Izydora Sztaudyngera. Nie było wówczas jednak w Zakopanem sprzyjającego klimatu dla realizacji takich idei. Nic więc z tego nie wyszło. Do tej pory jakoś nikt nie miał czterech tysięcy złotych, aby na domu pod Wielką Skocznią wmontować tablicę pamiątkową. W Łodzi na szczęście na domu przy ulicy Żwirki taka tablica istnieje od lat. Teraz jednak w Zakopanem trochę się zmieniło. Władze patrzą przychylnie na pomysł urządzenia muzeum w domu pod Wielką Skocznią. I jest nadzieja, że zezwolą na zainstalowanie elektrycznego ogrzewania, bo takie w muzeum byłoby niezbędne.

Stefan Rybicki przesyłając nam wycinek z „Dziennika Polskiego" dał do zrozumienia, że mamy również prawo upomnieć się o sprawy poety który choć urodził się i żył przez długi czas w Krakowie, to przecież był też łodzianinem. Tu mieszkał przez wiele lat. Wydawnictwo łódzkie wydało niektóre jego książki. Teraz zresztą też przygotowuje wspomnienia poety pod tytułem „Chwalipięta". Jego wnuczka Dorota tu chodziła do szkoły, zrobiła maturę. Czy trzeba więcej?

Wprawdzie z Krakowa bliżej do Zakopanego niż z Łodzi, ale i nasz głos może się liczyć. Dołączamy go więc do innych. Apelujemy do władz Zakopanego, aby zrobiły wszystko, co trzeba dla urządzenia muzeum Jana Izydora Sztaudyngera w domu pod Wielką Skocznią.

Myślę jednak, że przy tej okazji warto byłoby upiec i naszą własną, łódzką pieczeń. Tak się złożyło, że Łódź swego czasu dała schronienie wielu pisarzom. Ten okres został utrwalony w książkach, wspomnieniach, dokumentach. Ale to chyba nie wszystko. W szufladach wielu łodzian leży jeszcze sporo pamiątek po wybitnych pisarzach, aktorach, którzy tu przez jakiś czas żyli i pracowali. Sądzę, że warto byłoby te pamiątki zebrać, zgromadzić i że tym powinno zająć się Muzeum Historii miasta Łodzi, jeśli już się tym nie zajmuje.

W Symbirsku w 1812 roku urodził się Iwan Gonczarow, autor niezapomnianego „Obłomowa". Dziś Symbirsk nazywa się Uljanowsk, a w tamtejszym muzeum jest pokój, w którym zgromadzono pamiątki po pisarzu. Dom, w którym się urodził nie zachował się. A Iwan Gonczarow więcej czasu spędził w Petersburgu, choć do Symbirska przyjeżdżał szczególnie na lato, tu zresztą próbował nawet przez pewien czas pracować w urzędzie gubernialnym, tu zresztą znalazł prototypy swoich bohaterów.

I tak postępuje wiele muzeów. Może by skorzystać z tego pomysłu?

MARCIN RODAK

HASŁO NUMERU: Nie pij do lustra. W razie sprzeczki możesz się pokaleczyć!

1/3 mini magazynek

ZE SPORTU

I SŁUSZNIE

„Rozpoczyna się sezon piłkarski" — donosi nam radośnie Janusz Pac na łamach „Trybuny Ludu". Ale zaraz zastrzega: **„NIE OBIECUJMY SOBIE WIELE"**

Zgadzamy się z tym w całej rozciągłości. Po naszych piłkarzach wiele spodziewać się nie można.

K.I.Bic

Producent — bubel — producent

Wprowadzone zostały ostatnio swoiste metody walki z bublami. Oto niektórzy producenci zastrzegają sobie, iż naprawy gwarancyjne będą wykonywać sami (co im się chwali). Aliści handel nie kwapi się do pośredniczenia między klientem i producentem, w związku z czym na klienta spada obowiązek zapakowania wyrobu, odniesienia go na pocztę uiszczenia opłat itp.

Tak ostatnio zdarzyło się czytelniczce „DP", która zakupiła butelkę z termoregulatorem „Bobas", wyprodukowaną przez Spółdzielnię Inwalidów „Jedność" w Będzinie.

W ten sposób na łeb na szyję spada ilość reklamacji. I o to chodzi

K.

TADEUSZ GICGIER

POZORY

Wbrew pozorom, w naszym życiu
wiele dzieje się w ukryciu.

Zmieniają się pory roku,
nami rządzą wciąż pozory.

Wielu wkłada duży mozół,
aby stworzyć jakiś pozór:

pozór pracy, aktywności,
bliskiej z górą zażyłości,

pozór zaangażowania,
niskiej gaży pobierania,

pozór serca i przyjaźni,
pozór tęgiej wyobraźni,

pozór werwy i wigoru
tudzież ikry — tej z pozoru.

Te pozory oraz pozy
nie uznają małej dozy,

strasznie lubią imponować,
nowy pozór ewokować:

pozór głębi, pozór sensu,
pozór wiedzy stricto sensu,

pozór smaku, pozór znawstwa,
co oceni wszystko raz — dwa,

pozór prawdy, uczciwości
i bezinteresowności.

Ulegamy tym pozorom,
a potem nas diabli biorą,

żeśmy tak się nabrać dali
na pozór — ludzie dojrzali.

ZE ŚWIATA

OBYCZAJE

Władze w San Sebastian zezwoliły paniom opalać się i kąpać na plażach bez staników. Zostały niejako do tego zmuszone przez turystki z Francji, Wielkiej Brytanii, Szwecji, które wbrew wszelkim zakazom chodziły do plaży tylko w dolnej części kostiumu.

Nie zezwolono natomiast panom przebywać na plaży. A mówi się, że pies to najwierniejszy przyjaciel człowieka.

G.Oły

W TEMPIE ŻÓŁWIA

Pod koniec pierwszej dekady sierpnia dotarł do kiosków nr 26 „Przeglądu Technicznego — Innowacje". I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie był to numer z datą 29.06.1980 r. Jest to kolejny numer „PT", gdyż poprzedni podwójny, nr 24—25 z datą 15—22.06.1980 r. ukazał się gdzies w połowie lipca 1980 roku. Następny numer „PT" z datą 6.07.1980 r. ukaże się gdzieś we wrześniu. A „Przegląd Techniczny" jest... tygodnikiem. Wychodzi od 1886 roku. Jest to chyba w historii pisma najdłuższy cykl wydawniczy. W stopce redakcyjnej można przeczytać, że numer został zamknięty: 17.06.1980 r. A więc żółwie tempo nie wynika z winy redakcji.

Z niecierpliwością będziemy czekali na następny numer „Przeglądu Technicznego". Ukaże się zapewne już po naszym urlopie, na który rychło wyjeżdżamy.

T. E.Chnik

W „MEGASAMIE"

Pisaliśmy niedawno w „1/3" o postępie dokonującym się w nazwach. Na początku był „sam", później „supersam", a obecnie Warszawa otrzymała „megasam".

Wiele sobie też Warszawa obiecywała po „megasamie". Jest to bowiem „sam" najwyższej rangi. Co może być po „mega"? Jest to już skala kosmiczna.

Tymczasem...

„W nowoczesnym pawilonie — pisze „Życie Warszawy" — zapomniano jednak o kilku „drobiazgach". Nie ma np. pomieszczenia na punkt skupu opakowań szklanych, teraz trzeba szukać zastępczego rozwiązania. Nie ma też w tak dużej placówce telefonu".

Okazuje się, że robiąc postęp w handlu nie wystarczy wymyślić nową nazwę. Żeby tylko nasi handlowcy nie poszli w ślady warszawskich kolegów i nie ograniczyli się do wymyślania nowych nazw.

K. L. Ient

W TYM ROKU TO BĘDZIEMY MIELI NIE BABIE, ALE DZIADOWSKIE LATO

Rys: Andrzej Adamowicz

CZY TYLKO?

Felietonista „Sztandaru Młodych" Bogdan Maciejewski dokonał interesującego odkrycia. Od dawna „Motor" publikuje wiadomości o różnych racjonalizatorskich pomysłach właścicieli naszych rodzimych pojazdów, którzy wprowadzają w nich różne udoskonalenia.

„Gdyby się udało — pisze felietonista „SM" — **te wszystkie pomysły wprowadzić w czyn, to nie tylko Syrena przestałaby być Syreną, stałaby się samochodem, lecz również Fiaty 125 oraz Polonezy znalazłyby się w bliskim sąsiedztwie Mercedesów".**

I Bogdan Maciejewski proponuje, aby dokonać zamiany. Do fabryk samochodowych przyjąć owych domorosłych konstruktorów, a fabrycznych pchnąć do innej pracy. Może dałoby to pozytywne rezultaty i poziom naszych samochodów skoczyłyby gwałtownie do przodu.

Czy tylko w motoryzacji należałoby dokonać takiej zmiany? Mamy, co do tego, poważne wątpliwości.

W. Korbowy

ROBERT KARPACZ

ODRYSKI

Że człowiek ma olej w głowie, dowiadujemy się po niezbyt obfitych przeciekach.

• • •

Unikamy czynienia dobrych uczynków aby nie mieć później wyrzutów sumienia.

• • •

Niejeden wybił się, ponieważ wiedział gdzie uderzyć.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—138 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Łodzi. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90—103 Łódź. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1921. G-2.